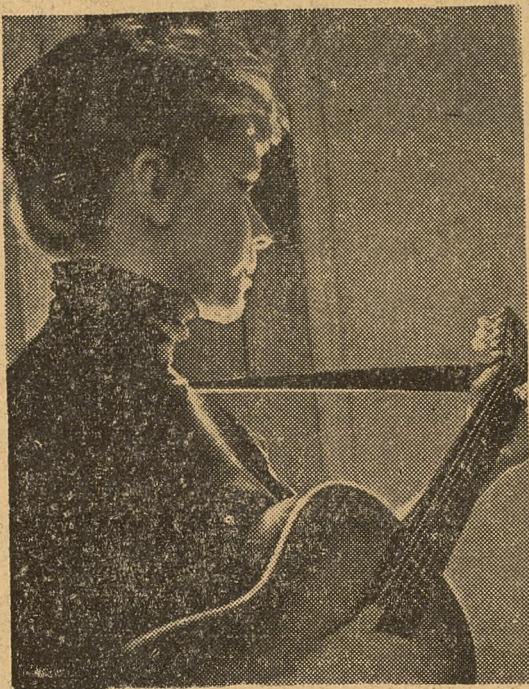


zdarzenia

KRAKÓW 14 II 1960 r. ILUSTROWANY MAGAZYN TYGODNIOWY Nr 7 (144) CENA ZŁ. 1.50



Nina Andrycz w roli królowej Elżbiety Valois w „Don Karlosie” Fryderyka Schillera. Fot. Franciszek Myszowski



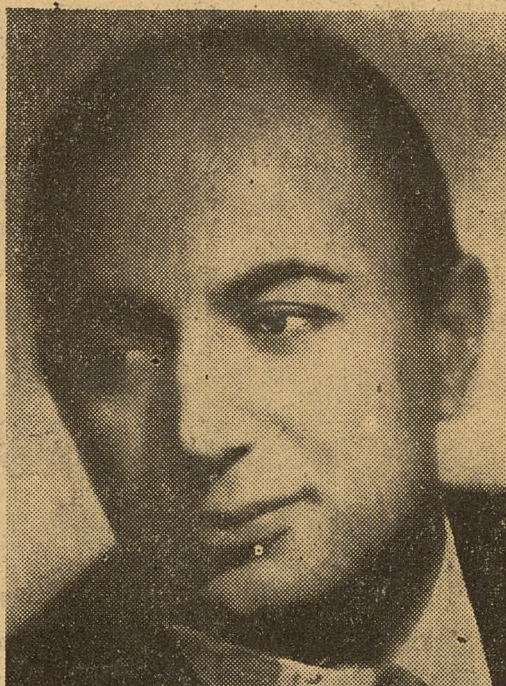
Sława Przybylska
2.031 głosów



Jerzy Połomski
1.514 głosów



Mieczysław Fogg
1.422 głosy



Janusz Gniatkowski
1.104 głosy



Eartha Kitt
1.040 głosów

MAMY JUŻ NAJPOPULARNIEJSZYCH PIOSENKARZY

ŚWIĄTECZNY KONKURS-PLEBISCYT „LAJKONIKA” i „ZDARZEN” — ZAKOŃCZONY! W Konkursie wzięło udział 2.988 osób, które nadały 14.940 głosów.

Czytelnicy nasi z uznaniem przyjęli ogłoszenie tego typu konkursu-plebiscytu, w licznych listach chwaliąc naszą inicjatywę i prosząc o coroczne ogłaszanie podobnego konkursu.

Czytelnicy wybrali spośród 49 pieśniarzy najpopularniejszą „piątkę” (patrz zdjęcia obok).

Ponadto największą ilość głosów otrzymali: L. Armstrong (1029), N. Zylska (1011), Yves Montand (893), M. Koterbska (715), Tino Rossi (605).

Lista nagród i nazwiska zwycięzców Konkursu, którzy wytypowali trafną „piątkę” na stronie — 9.

W najbliższych numerach rozmowy z laureatami-pieśniarzami.

„DON KARLOS” w Teatrze Polskim w Warszawie

Nareszcie powojenny repertuar teatrów warszawskich przekroczył zaczarowany krąg „Intrygi i miłości” i „Marii Stuart” — najbardziej ograniczających sztuk Fryderyka Schillera.

Premiera „Don Karlosa” w Teatrze Polskim stanowi wyłom w tej niezbyt ambitnej tradycji i jest jednocześnie kunsztowną klamrą zamykającą ubiegłoroczne obchody „Roku Schillerowskiego” w Polsce.

Wybór „Don Karlosa” jest słuszny co najmniej z dwóch przyczyn:

Po pierwsze dlatego, że po „Zbójcach” i „Intrydze i miłości” jest „Don Karlos” w twórczości Schillera dalszym konsekwentnym wyrazem buntu poety przeciw tyranii, jest utworem, który nie traci, jak „Intryga i miłość” melodramatem, lecz w którym wbrew wielu dawnym inscenizacjom dzieje miłości infanta do królowej są przeciwieństwem podporządkowane wielkim sprawom społecznym i politycznym, walce o wolność narodów i jednostki.

Po drugie dlatego, że polityka repertuarowa Teatru Polskiego nie była ostatnio chyba najszcześliwsza. Dobrze się stało więc, że po serii niezbyt udanych premier Teatr Polski wystawił „Don Karlosa”, obsadzając główną rolę kobietą świetną Niną Andrycz.

Biała królowa Hiszpanii w interpretacji Niny Andrycz, to nie uciśniona zacność, zbyt często zalewająca się łzami, lecz Nike zamierzonej hiszpańskiej rewolty, kobieta o wielkich ambicjach politycznych. Artystka oparła się na pomijanych dotychczas w teatrze charakterystykach królowej Elżbiety Valois, o tyle cennych, bo dostarczonych przez samego autora. Schiller każe markizowi Pozie mówić o Elżbiecie, jako „mężnej, wspaniałomyślniej i otwartej”, zaś ojcu Domingo jak o „młodej orlicy”, pragnącej „pomsty szukać” na znikczemniałych dwóch Filipach, pomnej zresztą także na interesy swojej dynastii.

Tak właśnie gra ją Andryczówna, gdy jest królową i dumna córką Wależjuszy. Ale ponadto jest jeszcze mądrym człowiekiem i zakochaną kobietą. Zachowanie właściwych proporcji w dozwolonej uczucie królo-

wej należy do mistrzowskich osiągnięć Niny Andrycz. Mądrość życiowa królowej ujawnia się już w pierwszej odsłonie zwłaszcza w ty-radzie o obowiązkach infanta wobec narodu i jest ładnie zharmonizowana z tklivością, nieszczęśliwej kochanki. Jak ona umie wyrazić nadzieję, oddanie, ból rozłąki w pożegnalnej scenie z Karlosem. Jak rozpaczliwy i bezradny jest ten pocałunek w ramię odchodzącego infanta. I może właśnie dlatego, że przez cały czas Nina Andrycz jest mocna, ludzka, konsekwentnie aktorska, należy uznać Stanisława Jasiukiewicza jako markiza Pozę. Artysta bardzo wnikliwie rozgraniczył umiłowanie wolności i ideałów ogólnoludzkich od uczuć osobistej przyjaźni do Don Karlosa. Są to, jak wiadomo, dwa główne nurty uczuciowe i myślowe, określające jego działanie. Dla obu znalazł szlachetne i ujmujące prostotę środki aktorskie, przepojone głęboką żarliwością wewnętrzną.

Natomiast Czesław Wołłejko — w roli Don Karlosa — niestety zbyt często ślizga się po powierzchni poetyckiego tekstu. Jan Kreczmar reprezentuje, jak zwykle, dużą kulturę sceniczną. Z reszty obsady należy wymienić przede wszystkim Wojciecha Brydzińskiego — jako opata i Władysława Hańczy — inkwizytora.

Dekoracje Otto Axera bardzo pomysłowe i piękne w kolorze, zwłaszcza te pałacowe w Madrycie. Największą ich zaletą jest to, że są nareszcie tym dla gry aktorskiej, a nie istnieją dla samej konstrukcji plastycznej.

Reżyseria Władysława Hańczy robi wrażenie nieco niedoobracowanej. Widza nużą niepotrzebnie dłużyżny, nieporadność przy zmianie dekoracji. Są to jednak braki łatwe do usunięcia. I mimo nich warszawski „Don Karlos” cieszy się zasłużonym powodzeniem.

R. Dzięciołkiewicz

PO NARADZIE MOSKIEWSKIEJ

W Moskwie zakończyła się narada państw Układu Warszawskiego. Po naradzie została ogłoszona deklaracja państw-stron Układu Warszawskiego. Deklaracja stwierdza, że rozbrojenie powszechne i całkowite jest nakazem chwili. Wzywa do zawarcia szczerego układu o rozbrojeniu, i ostrzega przed polityką NRF zmierzającą do przeszkody w rokowaniu między mocarstwami. Jeszcze raz podkreśla nienaruszalność polskich granic zachodnich, konieczność zawarcia układu pokojowego z Niemcami.

MIKOJAN NA KUBIE

W stolicy Kuby Hawanie bawił wicepremier ZSRR Mikołaj. Otworzył on wystawę osiągnięć nauki, techniki i kultury radzieckiej.

TECHNIKA W RĘKACH MŁODYCH

W Warszawie zakończyło obrady X Plenum KC ZMS. W czasie obrad omówiono zadania ZMS i rolę młodej inteligencji w walce o rozwój techniki. Równocześnie podjęto uchwałę o zwolnieniu w lipcu br. w 550 rocznicę bitwy grunwaldzkiej wielkiego zlotu młodzieży na polach Grunwaldu.

NAJKRÓCEJ I NAJCIĘKAWIEJ

W szkole w Giszowcu koło Katowic uczeń V klasy Eugeniusz Palka usiłował rozbić spłonkę górnica... scyzorykiem. Potężny wybuch i eksplozja urwała chłopcu cztery palce lewej dłoni a odłamki urwały ucho sąsiadowi. Palka znalazł spłonkę na haldzie. Jedną z nich położył na szynie kolejowej powodując na szczęście niegroźną eksplozję w momencie przejazdu pociągu, a drugą przyniósł do szkoły.

Podobno w Piotrkowie Wielkim na Opolszczyźnie są najbogatszą wsią w Polsce. Mieszkańcy tej wsi posiadają 6 samochodów osobowych, 47 motocykli, kilkaset motorowerów oraz 51 telewizorów.

W Myszkowie woj. katowickiego złodzieje skradli sprzed gmachu Komendy Powiatowej MO samochód Warszawy. W ciągu kilku godzin złodzieje zostali ujęci. Zdzysław sprzedaje już jednak zapasowe koło.

Nieznani złodzieje skradli z sopockiego "Grand Hotelu" kilkanaście tysięcy złotych stanowiących dochód z "Balu Aktora". Natomiast w warszawskiej restauracji "Wyscigowa" zamaskowani złodzieje po terroryzowaniu obecnych skradli z kasy... 14 zł w bilonie.

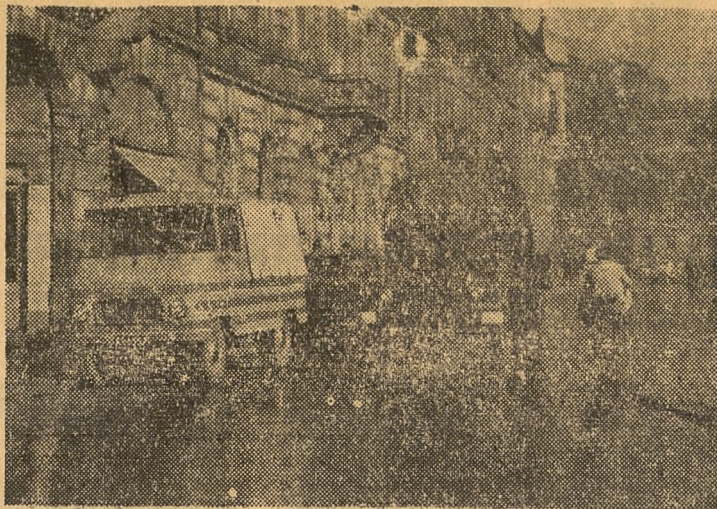
Janusz Wujko i Mieczysław Antoniewicz, synowie zamordowanych rodziców, "złota młodzież" Białej Podlaskiej zgwałcili swoją młodą koleżankę. Obaj zostali aresztowani i staną przed sądem dożywotnim.

W Biskupinie miejscowa GS wybudowała bar na wzór starej chaty słowiańskiej z bali drzewnych, żerdzi i trzcin. W tym archaicznym barze podaje się jednak współczesne dania i kawę.

Czterej młodzi przestępcy, posługując się imitacją pistoletów dokonywali napadów rabunkowych. W październiku ub. r. okradli oni pocztę w Broniszowicach, a ostatnio obrabowali taksjarza Anatola Mussa z Bytomia. W czasie pociągu zostali ujęci i wkrótce staną przed sądem.

Pożar w Bydgoszczy, którego ofiarą padły dwa zabytковоe spichrz, spowodował prawie 40 mln zł strat. W spalonych budynkach znajdowały się magazyny "Argeu" a w nich setki aparatów radiowych i telewizyjnych z importu i wiele innych artykułów.

Punkty zapalne wielkiego miasta



W śródmieściu coraz ciężej. W trosce o to, by za kilka lat zupełnie nie zatamować ruchu w mieście, Wydział Drogowy MRN wprowadził ruch jednokierunkowy, w obrębie Plant, ogranicza wjazd pojazdów konnych, samochodów ciężarowych.

Powoli znikają wysłużone, stare "składy" pociągów. Zastępują je nowe, wygodne, szerokie. Te wagony (jak na zdjęciu) można spotkać już tylko na niektórych lokalnych liniach.



MOTTO:

"Podczas wszelkich nieprawidłowości w ruchu, należy zachować największy spokój..." (z pierwszego Regulaminu Kolej Elektrycznej w Krakowie wydanego w roku 1901).

O ile w roku 1901, w myśl wydanego Regulaminu (patrz motto) konduktor wozu elektrycznego miał obowiązek na każdym przystanku wyjść z wozu i sprawdzić (zanim da sygnał do odjazdu) czy... „z pobocznych ulic ktoś jeszcze nie zdążył...”, o tyle dzisiaj na brak frekwencji krakowskie środki powszechnej komunikacji, nie mogą narzekać.

Kraków stał się wielkim miastem, przyjął w swój terytorialny obręb wiele osad i wsi, których ludność nie tylko codziennie dojeżdża do pracy w mieście, ale pragnie też korzystać z dobrodziejstw socjalnych, oświatowych i kulturalnych miasta.

"Tylko spokój może nas uratować"

Mniej więcej w ten sposób można przetłumaczyć na współczesny język motto zacytowane na wstępie. I wówczas staje się ono dewizą nie dla obsługi, lecz dla korzystających z komunikacji miejskiej. Bo spójrzmy na krakowskie linie autobusowe MPK. One to właśnie, autobusy miejskie, spełniają podstawową rolę dla dzielnic przyłączonych, przysiółków, osad. Obsługują: Śwoszowice, Wole, Justowską, Piaski Wielkie, Wole Duchacką, Prądnik Biały i Czerwony, Kobierzyń, Skopiniki, Rybitwy, Bielany, Azory, Tonie, Kostrze, Witkowice, Ruszcze... Razem 20 linii autobusów normalnych, jedna linia pospieszna do Nowej Huty.

A stan posiadania Miejskiego Przedsiębiorstwa Komunikacyjnego? — Przeciętnie 50 wozów „na chodzie”. Niektóre z nich mają już po 10—11 lat.

ro Studiów MPK przeprowadziło szczegółowe badania wykorzystania taboru w Nowej Hucie i Krakowie. Okazuje się np. że najwyższy godzinowy procent wykorzystania taboru (zapełnienie tramwaju) w kierunku Rondo—Nowa Huta wynosi zaledwie 98 proc. Jak się więc dzieje, że do tramwaju wsiąść nie można, skoro przeciętnie nie jest wykorzystany nawet w 100 proc? Podkreślamy: przeciętna jest godzinowa np. pomiędzy godziną 6 a 7-mą. W tym czasie pomiędzy 6 a 6.15 wozy tramwajowe, wykorzystane są zaledwie w 10 proc., pomiędzy 6.15 a 6.30 w 20 proc. a w okresie od 6.30 do 6.45 w 200 i więcej procentach! Przed samą siódmą procent znów spada poniżej 15 proc.!

Jak temu zaradzić? — Przecież na te 15 minut występujące regularnie (przed 6-mą, przed 7-mą, przed 8-mą), MPK nie jest w stanie o 100 proc. zwiększyć ilości wozów. Istnieją natomiast proste sposoby rozpoczynania pracy w większych zakładach o różnych godzinach (co 15 minut). Np. pracownicy Zjednoczenia Budowy Huty im. Lenina zdążają do pracy we wszystkich podległych zjednoczeniu zakładach na 7-mą. Biuro Studiów MPK opracowało dla kierownictwa Zjednoczenia szczegółowe dane, w jaki sposób rozładować dojazd do pracy olbrzymiej ilości pracowników Zjednoczenia. Podległe Zjednoczeniu zakłady, w większości nie powiązane ze sobą produkcyjnie, mogą rozpoczynać pracę w różnych porach. (6.45, 7.15 itp.) Jest w tym względzie specjalna uchwała Rady Narodowej miasta Krakowa, lecz ani zakłady pracy, ani szkoły i uczelnie zupełnie jej nie respektują.

Niezwykle ciekawym zjawiskiem w komunikacji tramwajowej pomiędzy Krakowem i Nową Hutą

ją wykładane są siedzenia... W przedziałach dla niepalących nikt nie pali! W najbliższym czasie będziemy mieli 60 wagonów tego typu i przeznaczmy je do ruchu podmiejskiego, robotniczego...!

Dodajmy, że nie zawsze kulturalnie zachowuje się młodzież. Młodzi chuligani ukradli już kilkanaście luster, w które zaopatrzone są toalety nowych wagonów. Krytyczna postawa większości pasażerów pomaga jednak PKP w utrzymaniu porządku. Wagony są czyste; jasne, jazda w nich to prawdziwa przyjemność. Do Miechowa i Brzeska, Okocimia jeszcze w tym roku kursować będą nowoczesne wagony motorowe typu SN 61. Również Niepołomice otrzymają nową „motorówkę”.

W sumie podróżować będziemy szybciej, w kulturalnych warunkach i bez tłoku. Armia dojeżdżających do pracy ma jedno tylko życzenie: aby plany (których realizacja jest już w pełnym toku) zrealizowane zostały jak najszybciej. Ostatnie bowiem 15 lat nie przyniosło kolejnictwu krakowskiemu w ruchu podmiejskim zbyt wielu sukcesów. Rok 1960 ma szansę być w tym względzie przełomowym!

Wnioski

Trudno w krótkim artykule poruszyć wszystkie problemy komunikacyjne wielkiego miasta. A jednak zarysowuje się kilka postulatów:

1. **Autobusy** — Miejskie Przedsiębiorstwo Komunikacyjne nie posiada zupełnie bazy. Czy wiecie, że piękne taksówki „Wołgi” garażują pod gołym niebem bez względu na stan pogody? Czy wiecie, że MPK posiada dwa kanały do remontu swoich wozów? Czy wiecie, że przy ul. Wawrzyńca mechanicy pracują dosłownie na jezdni? (Sam widziałem jak na chodniku dokonuje się wymiany silnika!)

„PROSZE WSIADAĆ—JEDZIEMY?”

Kierownik Biura Studiów i Eksploatacji MPK, pan T. Piłarski pokazał mi taką oto tabelkę:

50 wozów — stan dzisiejszy
7 — na linię „A” (pospiesznie do N. Huty)
10 — na linię śródmiejską (Dworzec—Aleje—Mateczny) na pozostałe wszystkie linie pozostaje 33 wozów. Przeciętna teoretyczna ilość wozów na jednej linii wynosi więc ok. 1,3 „autobusu”. Oznacza to, że wiele linii autobusowych obsługiwanych jest przez jeden autobus. Oznacza to, że gdy na trasie nastąpi awaria autobusu — linia przestaje istnieć! Oznacza to, że pasażerowie oczekują na przystankach, a autobus nie nadjeżdża... Tak, ten obrazek to my wszyscy znamy.

Istotnie tylko spokój może nas wówczas uratować, bo nikt nas nie poinformuje, że autobus nie nadjeżdża wcale. Zresztą i samo MPK dopiero po około 1,5 godzinie z informacją konduktora, który dobrał do najbliższego telefonu, dowiaduje się, że autobus trzeba ściągnąć z trasy. Co się dzieje wtedy? — Po prostu z innej trasy, gdzie kursują dwa (lub więcej) wozów, zabiera się jeden autobus. I to też znamy z własnej praktyki oczekiwania na przystankach...

Sprawa jest poważna. Wiele osad przyłączonych do wielkiego Krakowa (Grebatów, Łęk, Bieżanów, Zalesie, Zesławice) domaga się i ma pełne prawo się domagać, uruchomienia miejskiej komunikacji. Jednocześnie rozbudowywanie ilości linii, przy braku wozów nie ma najmniejszego sensu. Wskutek tej właśnie polityki np. Prądnik Czerwony przed kilkoma laty obsługiwany był przez 4 autobusy, a dziś na tej samej linii musi wystarczyć dwa. Jest to polityka krótkowzroczna.

Szczęśliwy kto tramwajem jedzie

Wiemy, że w godzinach szczytu i dojazdu do pracy tworzą się poważne zatorzenia. Blu-

jest fakt, że o tej samej godzinie z Krakowa do Nowej Huty jedzie mniej osób, niż z Placu Centralnego do Ronda! W okresie szczytu (godz. 5—8) trasę Rondo — Plac Centralny przebywa 6580 osób, a z Nowej Huty do pracy w starym mieście zdąża — 7740 osób. Nowa Huta stała się więc „sypialnią Krakowa”. Fakty te świadczą nie tylko o fatalnym układzie demograficznym naszego miasta. Oskarżają one także stan budownictwa w starym mieście, a także unaoczniają rozwój najmłodszej dzielnicy Krakowa, która staje się jego najpiękniejszą córką.

...A jednak pociąg najpewniejszy

Kolej dowozi do pracy w Krakowie i Nowej Hucie około 50.000 osób dziennie. Jeżdżą ze wszystkich kierunków. Najpopularniejsze trasy dojeżdżają to: Wieliczka, Niepołomice, Podłęże, Brzesko, Skawina, Tunel, Krzeszowice... Obecnie przeciętne przepełnienie pociągów podmiejskich wynosi 150 proc. Oznacza to, że dojazd i powrót z pracy odbywa się w nadzwyczaj niewygodnych warunkach. Jak temu zapobiec? — Mechaniczne powiększanie składu pociągów i wydłużanie ich w nieskończoność prowadzi do awarii. Wiele „długich” pociągów nie mieści się na krakowskich peronach. Jedynym rozwiązaniem jest więc zwiększenie częstotliwości pociągów.

I właśnie teraz w obliczu zakończenia elektryfikacji wielu tras, staje się to możliwe. W tym roku elektryczne pociągi wprowadzone zostaną na trasie Kraków—Wieliczka i Kraków—Podłęże. Już w tej chwili na trasie do Wieliczki kursują nowoczesne składki wagonów. Mówi dyrektor DOKP — inż. Piotr Lewiński: „W tej chwili mamy 12 nowoczesnych wagonów. Obserwujemy, że korzystający z nich robotnicy, w stworzonych im kulturalnych warunkach zachowują się kulturalnie! Nie śmieją, nie miszczą wagonów, nie zrywają skóry, któ-

2. **W sprawie komunikacji miejskiej w Krakowie** uważamy za konieczne zwołanie sesji Rady Miasta. Trzeba w końcu zdecydować o budowie bazy i zaplecza dla MPK. Trzeba kategorycznie wystąpić o przydziały autobusów. Warszawa licząca około 1 miliona mieszkańców posiada ok. 450 autobusów miejskich „na chodzie”. Kraków liczący połowę mniej mieszkańców i posiada zaledwie 60 wozów! Wierzymy, że stanowcza interwencja posłów Ziemi Krakowskiej może wpłynąć na zmianę tego stanu rzeczy i uratować MPK od klęski, która w obecnych warunkach grozi.

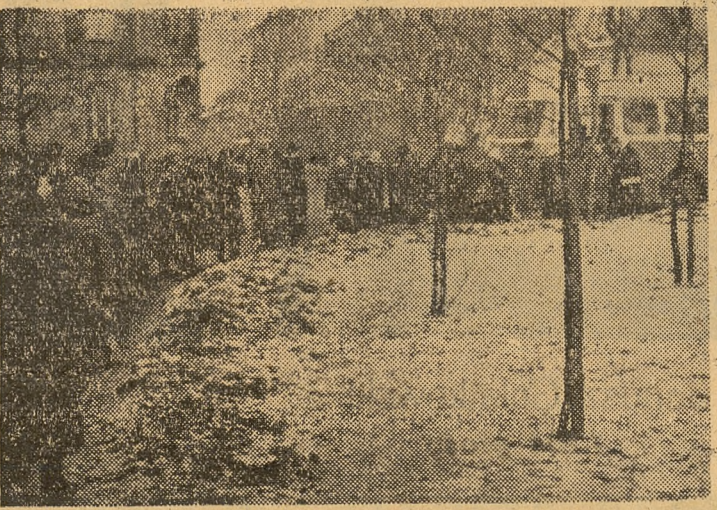
3. **Tramwaje** — wiemy, że gdy spadnie śnieg, „wysiada” ruch tramwajowy. Wiemy nawet, że dzieje się to wskutek awarii podstacji Łobzów. A czy wiecie, że podstacja ta jest swoistym zabytkiem z 1901 roku i nadaje się jedynie na muzeum? Jeżeli w bieżącym roku MPK nie otrzyma nowej podstacji (prace trwają), sytuacja stanie się tragiczną. Łobzów obsługuje bowiem dojazd zasadnicze węzły:

4. **Kolej** — Ludzie jeżdżący pociągami w którymś miejscu wsiadają do pociągu i na Dworcu Głównym wysiadają. Jak najszybciej trzeba pomyśleć o budowie budynków stacyjnych na podmiejskich przystankach. Oczekiwanie na pociąg też musi się odbywać w kulturalnych warunkach.

Na Dworcu Głównym w Krakowie zasadniczym problemem jest rozładowanie tłoku przy wyjściu. Wybudowanie tunelu na ul. Bosacką i otwarcie tam nowego wyjścia z Dworca, w poważnym stopniu rozładowałoby sytuację. Pomysł jest do zrealizowania jeszcze w tym roku!

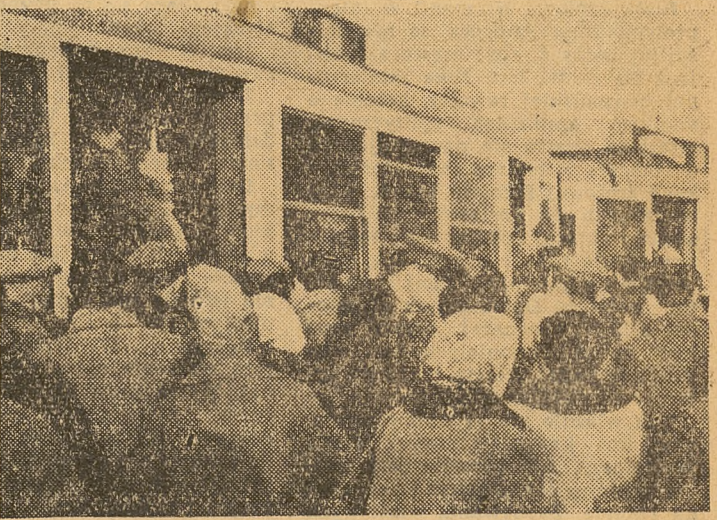
A wszystkim odpowiedzialnym za komunikację miejską i dojazdową warto przypomnieć, że pasażer to też człowiek i klient. A nasz klient — nasz pan. Oby!

Janusz Budzyński



Taka kolejka do autobusu MPK na Placu Matejki nie należy do rzadkości. Nie dziwnego, skoro jest to jedyny połączenie śródmieścia z peryferiowym Prądnikiem Czerwonym.

Kto dostanie się do tego tramwaju? W godzinach największego nasilenia ruchu (przed siódmą rano i po południu ok. 15) krakowskie tramwaje niczym nie różnią się od... warszawskich.



DOKUCZLIWE DROBIAZGI?

STATYSTYKA

Jeśli gdzieś zdarzy się jakiś wypadek samochodowy, w relacji z jego przebiegu prawie zawsze znaleźć można takie zdanie: „kierowca był w stanie nietrzeźwym”. Tak dalece owa nietrzeźwość była u nas główną przyczyną wszelkich nieszczęść na jezdniach i drogach, że nawet jeśli komunikaty o niej milczą, domyślamy się wtedy, że znowu ktoś musiał być pod gazem. Albo przejechał, albo ten, który go przejechał.

Ale czy przychodzi komu na myśl szukać przyczyn zła w alkoholu, gdy np. kupi sobie telewizor albo pralkę, po czym nie miały nawet parę dni, a któryś z tych cennych nabytków, jak to się mówi, „wysłada”. Szkoda, że nie bada się przyczyn tego rodzaju rzeczy, przecież nie rzadko przykrych niespodzianek. Szkoda, bo jak można by przypuszczać, wyniki takich analiz okazałyby się pewnie nader ciekawe, jeśli nie rewelacyjne. A można tak przypuszczać choćby na podstawie rezultatów obserwacji dokonanych w pewnej hucie szkła, jak kształtuje się tam absencja robotników oraz wydajność pracy w dni poświęcone oraz w dni następujące po wypadkach. Otóż okazało się, że nieobecność w pracy jest wtedy przeciętnie o 11 procent większa niż w pozostałe dni tygodnia. Tak samo o 11 procent a nawet i więcej spada w tym czasie wydajność pracy, a bowa i tak, że wykonanie zadań dziennych nie przekracza 60 procent. Powód? Trudno chyba o bardziej autorytatywną i wiarygodną opinię, jak ta, która ma na ten temat sami robotnicy. Zwiększoną absencję i gorszą pracę tłumaczą oni złym samopoczuciem, złym samopoczuciem zaś — libacją, w której brali udział dnia poprzedniego.

Tyle wynika z raczej jeszcze powierzchownych i fragmentarycznych badań wpływu alkoholizmu na poziom pracy w zakładzie. A gdyby tak jeszcze sięgnąć głębiej i dalej? Gdyby tak jeszcze spróbować odpowiedzieć na pytanie, ile wyrobów gorszej jakości z błędami czy wadami rodzi się u nas pod wpływem „kaca”, czy innych poalkoholowych dolegliwości? Należy się mocno obawiać, że odpowiedź taką nie byłaby zbyt optymistyczna.

A jednak nie da się powiedzieć, że ważne jest tylko to, co jest ważne, ponieważ w życiu bywa nie raz całkiem odwrotnie... Rozumiem: budowa kombinatów, kolei, osiedli, rzecz ważna, wielka, warta nagród i poważań, ale jakieś tam marchewki, ziemniaki, jakieś selerki czy farby — furda! Od wielu miesięcy mam ochotę zapytać panów z zaopatrzenia (warzywnego), co mają na myśli, kiedy mówią: zaopatrzenie. Często, za często ludzie odchodzą ze sklepów bez, zdawałoby się, prymitywnych dodatków obiadowych, ba! wielokrotnie już brakowało nawet ziemniaków. Nie mówię już o tym co wszyscy wiedzą również, że i chleba czasem piekarnie nie przygotowują dostateczną ilość (już w „Dzienniku Polskim” zauważono). Żyjemy sobie w kolorowym mieście, przyjeżdżają turyści i zagraniczni goście, podziwiają, a jakże, taki wysilek! Goście znają się na kurtuazji i nie próbują np. jakości sprzedawanych w sklepach „Warzywa-Owoce” ziemniaków. Cena wynosi wprawdzie 1,30, ale jakości! Czarne, poprzestane, nieraz po prostu śmierdzące. Obieranie ich wzbudza we mnie zawsze wstręt i zdumienie: jak się to robi, żeby ziemniak tak zmarlał, ile tu włożono sztuki przechowywania! Żona ma ochotę wyrzucić mnie z domu, kiedy przynoszę jej te zdumiewające plody naszej ziemi i naszej dystrybucji. Wszystkie żony, jakie znam, woła biec na targ do Bieńczy i tam płać chętnie 2,5 zł za kilogram, ponieważ otrzymują towar najlepszej jakości. Rzeczywiście — ziemniaki są białe, czyste, skórka na nich cieniutka, odpada niewiele i każda gospodyni łatwo sobie wliczy połowę strat wagi na ziemniaku „państwowym” i ten tutaj zysk na łupinie...

Nie mogę i ja wyjść z podziwu dla tych naszych speców warzywnych od siedmiu boleści, którym los powierzył troskę o nasze kuchnie.

Ziemniak rzecz drobna i jeżeli ten za 1,30 zł śmierdzi — można sobie natychmiast zafundować za 2,50 który nie śmierdzi, ale się ceni. Gorzej np. gdy wymiana jest niemożliwa, albo kosztowna. Myślę o kolorkach na nowych blokach Nowej Huty. Cieszy się serce, że miasto pięknieje, ale oko się gniewa, że pierwszy deszcz zamienił farbę białą w buro czarną a niebieską wypłukał zupełnie. Jakże niechlujnie to teraz już wygląda, domy jeszcze porządnie nie obeschły, a już właściwie trzeba je na nowo malować.

Jakiś orzeł zatwierdził farby, jakiś drugi orzeł dobrał kolory, trzeci orzeł kazał użyć zatwierdzone farby i mamy dziś poząciane balkony, przeświecające tynki, które miały być kolorowe, piękne miasto z miejsca otrzymuje patent niechlujstwa i nieodpowiedzialności. Kiedy jeszcze pracowałem w pewnej fabryce, majster mawiał: zanim raz utniesz — zmierz cztery razy. A tu nie mierzą tylko tną na łap cap. Już się nawet i gniewać człowiek nie ma ochoty gdy mu po raz n-ty z rzędu rozwalają trawnik przed oknem i kładą rury, o których nie pomyśleli w swoim czasie.

Ale to są drobiazgi, to są błahostki nie warte porządnego pióra jak twierdzi pewien dziennikarski orzeł, który nie pisze wcale, ponieważ poluje na tzw. wielkie tematy. Komu błahostki kogo krew zalewa.

Po IV Plenum w całym kraju zbierają się ludzie, żeby pogadać o postępie technicznym. Węc sobie myślę, że postęp techniczny nie zawsze musi dotyczyć spraw wielkich. Ważna jest także technika na codzień. I o tym nie wolno zapominać. Czekamy niecierpliwie na pomysł porządnego przechowywania ziemniaków, albo recepty na farbę tynkową, która nie zlezie po pierwszym deszczu...

Czekamy także na wyniki badań nad nowym polskim silnikiem. Cała prasa pisała już o silniku z obrotowym tłokiem — wynalazku Niemca Wankela, potem okazało się, że Polak wynalazł ten silnik w 1947 r. i opatentował, teraz znowu czytałem, że jeszcze inny Polak opatentował identyczny pomysł (choć różny w rozwiązaniu) w roku 1933! I że tamten już silnik chciała zakupić pewna firma angielska (wycinki z przedwojennego „Ekspressu”), ale dzielną i patriotycznie nastawioną rodak dał swój wynalazek armii, żeby go wprowadzić do swoich pojazdów. W 1939 r. najliczniejszym środkiem lokomocji były konie...

Przypomniałem te fakty, ponieważ nie są zapewne odosobnione. Potrzeba nam dobrych pomysłów. Ale chodzi też i o to, aby się nie zmarnowały. Nauczmy się dbać zarówno o rzeczy wielkie jak i małe.

ROMANTYCZNA
NOWELA
FANTASTYCZNA

ŻONA Z XXII

Pierwszy raz o Tawii usłyszałem z ust pewnego starszego pana, który zaczął mnie kiedyś na ulicy:

— Moje nazwisko Donald Goble — doktor Goble. Będę panu bardzo wdzięczny, Sir Geraldzie, jeśli zechce mi pan poświęcić parę minut w ważnej sprawie.

Spojrzałem na niego uważnie.

— To musi być jakaś pomyłka, nie mam prawa do tytułu szlacheckiego.

— Ach, bardzo przepraszam... byłem przekonany, że rozmawiam z Sir Geraldem Lattery...

Teraz ja się zmieszalam.

— Nazywam się rzeczywiście Gerald Lattery, ale „Mr”, a nie „Sir”.

— Najmocniej zatem przepraszam, ale czy nie moglibyśmy mimo to zamienić kilku słów?

Weszliśmy do mojego stałego baru „Pod Foką”.

— O cóż więc chodzi, panie doktorze?

Po chwili wahania zaczął mówić:

— Chodzi mi o Tawię, Sir... panie Lattery. Wydaje mi się, że pan nie rozumie, jakie konsekwencje może mieć ta cała sprawa. Ona musi wrócić, zanim się to ujawni. MUSI — rozumie pan?

Patrzyłem na niego zdziwiony, ale wyglądał zupełnie poważnie, a jego niepokój nie był udany.

— Ależ doktorze...

— Rozumiem, co to dla pana znaczy, ale błagam, niech ją pan przekaże. Trzeba być bardzo ostrożnym; skutki ostatnich wydarzeń mogą być nieobliczalne. Niech tylko zostanie w mieszkaniu w jakiejś aktualnej wydatce, nie, kto odpowie za to, co się stanie! Proszę ją przekazać!

— Chwileczkę, doktorze, to musi być naprawdę jakaś pomyłka. Zupełnie nie wiem, o czym pan mówi!

— Czy to ma znaczyć, że pan nie spotkał do tej pory Tawii?

— Nigdy nawet nie słyszałem tego imienia.

— Proszę zatem o wybaczenie. To rzeczywiście jakaś dziwna historia... Byłoby mi zbyt trudno wszystko wytłumaczyć... najlepiej niech pan zapomni o naszej rozmowie.

Odszedł, a ja postąpiłem w myśl jego prośby, zapominając o wszystkim, albo tak mi się przynajmniej zdawało.

Po raz pierwszy zobaczyłem Tawię w parę lat później, oczywiście nie wiedząc w tym momencie, że to ona. Opuszczałem właśnie bar „Pod Foką”. Kiedy położyłem rękę na klamce wozu, wyczułem, że spośród tłumu osób po przeciwnej stronie chodnika ktoś mnie obserwuje. Spojrzałem i nasze oczy spotkały się.

Była to wysoka, szczupła, dobrze się prezentująca i powiedziałabym więcej niż ładna dziewczyna. Miała na sobie zwykłą tweedową spódnice i ciemno zielony sweter. Bućki jednak były trochę dziwaczne — wyraźnie nie godziły się z resztą stroju. Jeszcze coś nie grało w tej całości, ale w pierwszej chwili nie wiedziałem co. Potem zrozumiałem, że chodziło tu o fryzurę. Była twarzowa, ale nie widziałem nigdy dotąd tak ułożonych włosów.

Przez parę sekund stała nieruchomo. Potem jakby we śnie, zaczęła przechodzić przez ulicę w moją stronę. W momencie, gdy zabrzmiał głos zegara wieżowego, na twarzy jej pojawił się przestrah. Zawróciła i znikła wśród ludzi. Wszedłem do wozu, dźwignąc się, za kogo mogła mnie wziąć, bo przecież nigdy nie widziałem jej na oczy.

Następnego dnia, gdy siedziałem jak zwykle „Pod Foką”, kelner powiedział mi:

— Była tu wczoraj jakaś młoda dama, pytała o pana. Czy pan ją już widział? Pokazałem jej pana stałe miejsce na sali.

— Jak wyglądała?

Opisał mi ją i rozpoznałem wczorajszą nieznajomą.

Wydawało mi się, że zna pana dobrze. Pytała o pana adres. Podałem go jej... chyba nie zrobiłem źle... wyglądała na bardzo przyzwyczajoną młodą osobę...

Ale na tym sprawa znów się urwała.

Następnym razem spotkałem ją po miesiącu. Jeździłem wówczas stale na przejażdżki z Mariolą. Tego dnia wypadek uliczny zatrzymał nas i wówczas ujrzałem moją nieznajomą. Zobaczywszy mnie zrobiła ruch jakby chciała podejść i porozmawiać ze mną, a'e w ostatniej chwili obecność mojej towarzyszkispezyja ją. Odwróciła się i odeszła.

Nasze trzecie spotkanie miało miejsce w zupełnie innych okolicznościach.

Pewnego popołudnia oglądałem w ogrodzie koło swej willi wschodzące kwiaty, gdy usłyszałem naraz trzask gałęzi w żywopłocie. Spojrzałem — to była ona! Gdy się upewniła, że oprócz mnie nie ma nikogo w pobliżu, weszła na ścieżkę i zawołała bardzo zdenerwowana:

— Nadchodzą, niech mnie pan szybko gdzieś ukryje!

— Ależ...

— Szybko, szybko! Oni tu zaraz będą!

Ponieważ wyglądała naprawdę mocno zaniepokojona, wprowadziłem ją do willi.

— Oni mnie nie mogą złapać! Niech ich pan tu nie wpuszcza! Najlepiej niech pan zaraz zawoła policję! Chyba macie jakąś policję?

— Naturalnie, mamy, ale...

— Niech pan zaraz ich woła! Szybko!

— Dobrze, wezwę ich, choć nie wiem naprawdę co im mam powiedzieć.

Zacząłem już rozmawiać z Komendą, gdy na ścieżce rozległy się szybkie kroki, a za chwilę łomotanie w drzwi. Oddałem słuchawkę nieznajomej.

— Niech ich pan nie wpuszcza!

Otworzyłem drzwi. Przede mną stał człowiek o niezwyklej wyglądzie. Młodzieniec lat około 25 ubrany był w strój chyba 18-wieczny, obcisłe spodnie i kłoszowy frak ze szklanymi guzikami. W każdym razie strój ten nie nadawał się ani do obowiązujucej mody ani do obecnej pory roku. Gdy zebrałem na tyle myśli, że mogłem go zapytać, czego sobie życzy, zobaczyłem, że patrzy poza mną na dziewczynę.

— Tawia, wracaj! — zawołał.

Nie przestawała szybko mówić do telefonu. Mężczyzna postąpił parę kroków naprzód.

— Powoli, przyjacielu, naprzód chciałbym wiedzieć, co to wszystko znaczy?

— I tak pan nic nie rozumie — powiedział i zrobił ruch, jakby mnie chciał odepchnąć.

(ciąg dalszy na str. 4)

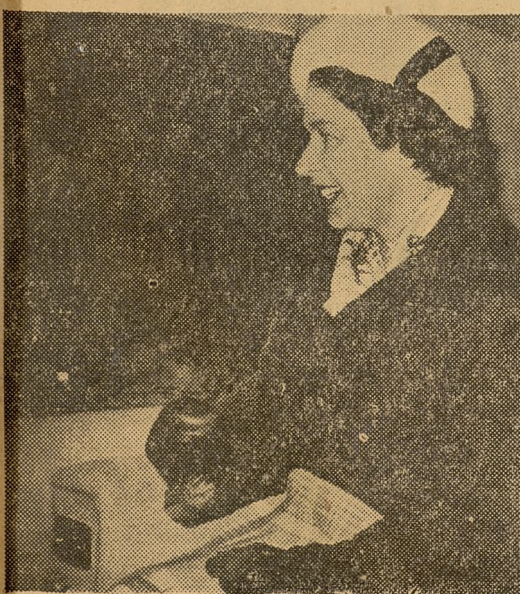
Zimowy i letni
Bardzo zabawne zestawienie. Każdy z tych dwóch sympatycznych panów prezentuje sprzęt umilający wakacje. Z tym że jeden wyekwipowany jest na zimę, a drugi na lato.

Przypatrzcie się dobrze ekwipunkowi — jeżeli na lato brak wam jeszcze wielu rzeczy — macie czas je uzupełnić. W każdym razie zdążycie się dobrze przygotować do następnej zimy.



Delon i Arnoul
Obiecający aktor francuski Alain Delon gra w nowym filmie francuskim

wspólnie z Francoise Arnoul. Akcja toczy się za czasów okupacji. Para bohaterów w scenie miłosnej.



Przed porodem

Królowa angielska Elżbieta rzadko teraz ukazuje się publicznie, ze względu na swój poważny stan.

Fotoreporter uchwycił ją w chwili gdy autem wraca do Londynu z Sandringham. Wóz z trudem przeciskał się przez szpalier ciekawych.

(Dalszy ciąg ze str. 3.)

Uderzyłem go mocno, wypchnąłem za drzwi i zamknąłem je za nim.

— Policja zaraz tu będzie — powiedziała dziewczyna.

— Może by pani wreszcie...

Przerwała mi, wskazując na okno. Odwróciłem się. Na ścieżce stał drugi tak samo ubrany mężczyzna, wyraźnie wahający się, czy wejść. Zdjąłem ze ściany dubeltówkę. Kazałem Tawii otworzyć drzwi i schować się za nimi. Zobaczyłem, że drugi mężczyzna pochyła się troskliwie nad uderzonym, a na ścieżce stoi jeszcze trzeci patrząc zaskoczony na wymierzoną w nich broń.

— Hej, wy tam! Albo zmykajcie, albo będziecie mieć do czynienia z policją!

— Ach, pan tego nie rozumie. Tawia musi wrócić — zaczął jeden z nich — to bardzo ważne.

— Dobrze, więc stojcie tam i czekajcie na policję. Jej wytłumaczycie te ważne rzeczy — wykrzyknąłem i kazałem dziewczynie zamknąć drzwi.

Patrzyliśmy przez okno, jak podnosili kolegę... Kiedy nadjechała policja, już ich nie było. Na pytania inspektora dziewczyna odpowiadała powściągliwie, nie podając żadnych szczegółów co do trzech napastników. Odmówiła też korzystania z ochrony policji, która chciała ją odwieźć do domu. Tak więc pozostała u mnie.

— No, może więc teraz zechce mi pani coś nie coś wyjaśnić?

Przez moment myślałem, że zacznie płakać, ale opanowała się i ścisłym głosem powiedziała:

— Miałam pana list...

— Pani? Mój list...?

— Tak, a teraz okazuje się, że pan mnie nawet nie zna!

— Więc najwyższy czas, abyśmy się poznali! Nazywam się Gerald Lattery.

— A ja, Oktawia Lattery. Nazywają mnie Tawia.

— Tawia? wydaje mi się, że to imię mi coś mówi... Czy jesteśmy w jakiś sposób spokrewnieni?

— Tak, dość daleko.

— Czy pani zna jakiegoś doktora Bogey?

— Myśli pan o doktorze Gobie? Biedny stary wujek Donald! Na pewno nie pan nie zrozumiał z tego, co on mówił. Przecież my pochodzimy z XXII wieku!

— Słucham? — zapytałem zdezorientowany.

— Spróbuję to panu jakoś wytłumaczyć. A więc, widzi pan, wszystko zaczęło się od tego, że studiowałam historię. Pański list spowodował, że XX wiek wybrałam za temat mojej pracy doktorskiej.

— Hm?? to mój list wszystko spowodował...?

— Tak, ten list i ten temat dawały mi prawo do pracy w laboratorium historycznym wujka Donalda, gdzie znajduje się maszyna historyczna.

— Maszyna historyczna...? a cóż to znów takiego ta maszyna historyczna...?

— Spojrzała na mnie zdziwiona.

— No, po prostu maszyna historyczna! Na niej uczymy się historii!

— Dalej nie rozumiem, ale może pani mi raczej powie, co z tym listem, skończmy już przynajmniej ten temat! Co miało być w tym liście, który rzekomo napisałem?

— Spojrzała na mnie raz i drugi. Zdumienie błysnęło w jej oczach i wreszcie rozpląkała się.

— Och, więc pan mnie nie kocha! Nie kocha mnie pan! Lepiej mi było tu nie przybywać! Lepiej żebym była umarła!

Uspokoiła się jednak po herbach i mówiła w dalszym ciągu.

— A więc mówiłam panu, że studiowałam jako okres specjalny, wiek dwudziesty. Musi pan wiedzieć, że aby móc użyć maszyny historycznej, trzeba mieć skończone studia, dyplom naukowy, praktykę i zezwolenie. Maszyna historyczna, o której pan nie wie, to rodzaj jakby szafy, do której się wchodzi, aby wyjść już w zupełnie innej, wybranej epoce, lub miejscu. Naturalnie nie każdemu wolno z niej korzystać. U nas w kraju mamy zezwolenie na 6 tego typu maszyn. A na całym świecie istnieje ich zaledwie 100. Ta ostrożność została nakazana wynikami pierwszych doświadczeń. Zdarzało się, że co dowcipniejsi historycy naszego XXII wieku, znalazłszy się w dalekiej przeszłości, demonstrowali wynalazki znane dopiero wiele wieków później. Archimedesowi np. przy oblężeniu Syrakuz podsuwali napalm, albo proponowali Napoleonowi ucieczkę z Elby jadącą podwodną. Tysiące takich chronoklasmów...

— Chronoklasmów? co to znaczy?

— Chronoklasmy, to właśnie to, co panu zacytowałam, to po prostu zakłócenie normalnej chronologii z powodu czyjegoś nieodpowiedzialnego postępowania.

— Chwileczkę... to mogło być się wobec tego zdarzyć, że ktoś zabiłby mego dziadka, a był jeszcze dzieckiem i ja bym dzisiaj nie mógł żyć!

— Naturalnie. Gdyby coś takiego się zdarzyło, nie rozmawiałby pan dzisiaj ze mną! Dlatego właśnie tak wielką wagę przykładam się do tego, aby dopuścić do maszyny historycznej tylko osoby o bardzo wysokich kwalifikacjach fachowych i moralnych.

— A pani ma te wszystkie kwalifikacje?

— Skądże? nie mam! Inaczej by tu za mną nie przyjechali!

(Dokończenie na str. 5)



NOTATKI Z POLOWANIA

GDY BRENEKA ŚWIERZBI W LUFIE

I ja tam byłem... Wspomnieć hadko — choć okolica Wielkich Oczu — małej miejsciny w dalekim powiecie lubaczowskim nie należy do najszcześniejszych kresów ziemi rzeszowskiej. Jeszcze dziś słońce zachodzi tu wspomnieniami krwawych waśni narodowościowych, ucząc swych kolorów zgłiszczom domostw, wystającym smętnie kominom, przytulnych niegdyś zagrod. Okolicą tą ciśnie władza niepodzielnie. Ciśnie leśnych ostępów — dzwoniąca wyczekiwaniem na zwierza.

Ach ta cisza! Ileż mnie ona kosztowała. Ilekróć zaskrzyptał śnieg pod moimi butami, ilekróć — nie daj boże — nastąpiłem na kruchą gałązkę — z początku pobłażliwy, później zniecierpliwiony, wreszcie porunujący wzrok Gucia przywoływał mnie do porządku. Bo myśliwy na stanowisku zamienia się w słup soli. Nie pozwala sobie na najbłahszy ruch, zlewa się z otoczeniem — byleby zmylić zwierza, byleby go nie wypłoszyć.

Wspominam te długie minuty, kwadransy wyczekiwania. Wokół ukojenie. Leśna świeżość zdaje się spływać do serca. Tymczasem w żyłach myśliwego gra krew. Zamienia się cały we wzrok i słuch. Tym bardziej im pohukiwania nagonki stają się bliższe. Oczy myśliwego przesuwają się po gestwinie — stamtąd należy spodziewać się zwierza. Może to być sama, lis, dzik... zając czmycha przed nagonką ostatni. Może jest leniwy, może uparty, a może najprzeźrniej-szy.

Oczy myśliwego zdają się przenikać chaszce. Zwierzyna pojawia się najniespodziewaniej. Nieraz sunie wprost na myśliwego. Panowie, bez nerwów! Spokojnie, opanowanie! Wybrać najlepszy moment do strzału — kiedy zając się zbliża i już zdaje się wietrzyć czyhające nań niebezpieczeństwo. Wtedy, bah... bah... i postrzelony kot zdoła tylko zaknazić.

Łowczy w kółku myśliwskim to persona nie lada. Jest organizatorem polowania. Do niego należy wybór łowiska, wyznaczenie miotu, a więc terenu, z którego nagonka na-

pędza zwierzynę na linię myśliwych, ustalenie ruchów nagonki i wreszcie rozstawienie myśliwych. Na jego głowie spoczywa bezpieczeństwo łowców. Od jego doświadczenia zależy często ich plon. Jest sędzią, od którego wyroków nie ma odwołania. Jest rozkazodawcą, którego decyzje wszystkich myśliwych bezwzględnie obowiązują.

Łowczy R. lubi rozgrywać wielkie batalie myśliwskie. Miot kilkudziesięciohektarowy jest jego rajem. Gdzieś z dala zaczynają dobiegać pohukiwania nagonki. Teren jeszcze śpi. Zda się że zwierzyna ani na lekarstwo. Linia myśliwych ani drgnie. Tu i ówdzie zaczyna pokazywać się szarak. Gdzie popędzi? Może spróbuje przeдрzeć się przez linię nagonki, wiedziony instynktem, że gdzie indziej czekają nań lufy? Może zwiędziony spokojem od strony linii myśliwych, pomknie pod ich strzały? Wreszcie na kogo pójdzie? Kto będzie tym szczęściarzem? Gra przypomina kibicowanie dobremu meczowi piłki nożnej.

I znów nowy miot. Myśliwi obsadzają wylosowane stanowiska. Łowią wzrokiem tropy zwierzyny, obiecując sobie hojny łup. Na roziskrzanej słońcem śnieżnej polanie ukazuje się dzicza rodzinka. Łocha z warchlakami pomyka wążać grozę położenia. Myśliwi są zaskoczeni, nie przygotowani do strzału. Tylko myśliwy R. składa się. Nie strzela! Spudłujesz! Choć breneka świerzbi w lufie myśliwy nie oddaje strzału. Poczucie koleżeńskie solidarności zwycięża nad łowiecką pasją. Może uda się zagarnąć całe stado...

Zapada zmrok. Dalekie zagrody majaczą skąpanymi światłami, wabią ciepłem i... myśliwskim bigosem. Sanie rozbrzmiewają śmiechem, przyjaźielskimi sprzeczkami, drwinami, docinkami. Na przechwali jeszcze nie czas. To dopiero przy kolacji... Przewiesiadnym stole — z dala od zapachu prochu i „farby” ustrzelonej zwierzyny, płyną wspominki o potyczkach z dzikami... Przechytrzeniu lisa... Wśród żartów i śmiechów brzmia i głosy gospodarskiej

CZY CZUJESZ SIĘ OSŁABIONY?

Luty, a zwłaszcza marzec to miesiące „słabe”. W tym okresie bowiem bardzo często czujemy się rozbici, wyczerpani, zmęczeni. Dokuczają nam bóle głowy, bezsenność, występują psychiczne depresje i „lamie nas po kościach”.

Dość długo dolegliwości tych nie brali poważnie ani cierpiący ani lekarze. W końcu naukowcy zajęli się bliżej tym zjawiskiem i po dokładnych obserwacjach stwierdzili, że organizm faktycznie na wiosnę przeżywa kryzys. Mnożą się zaburzenia w układzie krążenia, wzrasta liczba przeziębień, ostrych dolegliwości sercowych, a suche dane statystyczne wykazują poważny wzrost śmiertelności, samobójstw i nieszczęśliwych wypadków.

Wiemy, że znużenie wiosenne występuje na skutek skomplikowanych procesów życiowych. 30 bilionów komórek, składających się na nasz organizm, regeneruje się bowiem w określonym czasie. W zimie komórki przeważnie rosną. Na wiosnę rozmnażają się. Tym odmładzającym procesem kieruje przyroda, przy pomocy światła słonecznego i ciepła. Nerwy wzrokowe reagują na wzmożone bodźce świetlne i przekazują je do określonych centrów mózgowych, które z kolei aktywizują gruczoły. Skutek: wzmożone wydzielanie hormonów. Światło i ciepło działają też bezpośrednio na ciało. Promienie poprzez skórę przenikają do krwi. W substancjach czułych na światło następuje reakcja podobna do tej, jakiej ulega płyta fotograficzna po naświetleniu. W konsekwencji dochodzi do che-

micznie - biologicznej reakcji łańcuchowej, której przebiegu nauka jeszcze dobrze zna.

Czy jesteśmy jednak bezradni? Nie! Posłuchajmy rad naszych uczonych:

PROF. DR ANTONI SABATOWSKI (klimatolog)

Zdrowotność klimatu oceniano dawną temperaturą powietrza. Gdy dochodziły mrozy — większość starszych ludzi, chorych (zwłaszcza gruźlików) dzieci, nie opuszczała ciepłego domu. Warto na marginesie wspomnieć, że kopane przez długie lata walczyło o no zimowej stolicy.

Skutkiem tego skóra nasza podczas mroźnych miesięcy odzwyczajała się do słońca, zwłaszcza podczas mglistych i krótkich dniach i słabej insolacji. W zetknięciu się z wiosennymi promieniami słonecznymi, prowadzić musiła zachowania równowagi nawet organizm zdrowy, nie mówiąc już o chorym, którego promienie te były zabójcze.

Dziś „chorowanie” w przejściowym okresie zimowo-wiosennym właściwie nika. Zwyciężyła idea, że słońce w zjawie jest czynnikiem bardziej potrzebnym organizmowi ludzkiego niż w lecie.

Niemniej jednak, aby zapobiec tzw. biciu, wyczerpaniu, zmęczeniu, depresji, które mogą występować u poszczególnych jednostek, należy:



troski: zbliża się czas ochronny, czas legów i rozmnożeń. Mówi się więc o kłusownikach, którzy bezmyślnie trzebią zwierzynę, mówi się o dokarmianiu zwierzyny. W głęboką noc płynie myśliwski rozhowor.

Łowiectwo pociąga, ujarzmia, działa jak narkotyk. Kto raz chwycił dubeltówkę, ten łatwo jej z rąk nie wypuści. Może coś o tym powiedzieć prof. Marchlewski, który mimo dolegliwości sercowych, podtrzymywany nieraz ramieniem towarzyszy, dzielnie dotrzymywał im kroku. Przykładem

tego jest wielu myśliwych, którzy swe skromne oszczędności poświęcają właśnie wiekiemu hobby. A sport kosztowny. Oplacić sprzęt, gospodarowanie terenem, karmienie zwierzyny, do pobytu, nagonkę, pokryć transport upolowanej zwierzyny nie jest rzeczą bagatelną. Jednak potrafi pozbawić uroków krajoznawstwa, słowem powietrza, myśliwskiego szczyku i napięcia, wesółej zgranej kompanii, odpoczynku po miejskim zgiełku i po życiu?

CZY CZUJESZ SIĘ OSŁABIONY?

Wykorzystać każdy słoneczny dzień zimowy na spacer, sporty zimowe itd., podczas zaś mglistych zim stosować umiarkowanie i rozsądnie lampę kwarcową. Zwrócić baczniejszą uwagę na odżywianie, które w wyniku niewłaściwego przechowywania np. jarzyn, pozabawione jest witamin. Trzeba spożywać więcej kiszonek (kiszona kapusta, ogórki, pomidory, jabłka itd.), w których szczególnie witamin nie postępuje.

Przełamać nieuzasadnioną niechęć do mrożonek (jabłko, pomidory itd.), i spożywać je w jak najszerszym zakresie, ponieważ mrożonki zawierają prawie w całości witaminę.

Propagować wśród rolników karmienie bydła kiszonkami (silo), zawierającymi witaminę, które dostają się rzeczo jasno i do mleka. Ma to pierwszorzędne znaczenie dla niemowląt, karmionych krowim mlekiem w porze zimowej. W ogóle, szeroko podjęta akcja budownictwa silosów jest równocześnie akcją zdrowotną.

DOC. DR WINCENTY WCISŁO (fizjolog)

Człowiek jako cząstka otaczającego świata podlega prawom, które rządzą tym światem.

Na uwagę zasługuje tu zjawisko fazowości, naprzemienności. U człowieka obserwujemy fazowość dobową (praca, wypoczynek, sen), okresową (np. święta, wakacje itp.) oraz fazowość roczną związaną ściśle z porami roku.

W związku z tym aktywność ustroju

człowieka również się zmienia w sposób okresowy, fazowy. Przy takim przestawieniu się wszystkich funkcji ustroju następuje osłabienie organizmu, który staje się bardziej podatny na wszelkiego rodzaju choroby. W ten sposób można wytłumaczyć w pewnym stopniu odnawianie się na wiosnę wrzodów żołądka, wszelkich uczuleń, nawrotów gruźlicy itd.

Na przełomie zimy — wiosny występuje silniejsze nasłonecznienie, pod wpływem którego przesuwają się warstwy ciepłego powietrza. Powietrza wilgotnego itd., co nie pozostaje bez wpływu na wątły, nieprzygotowany do tego rodzaju zjawisk organizm. Ulega on różnego rodzaju zaburzeniom.

W okresie przejściowym wskazana jest stopniowa adaptacja organizmu.

Niezwykle ważne jest ubieranie się dostosowane do temperatury powietrza oraz spacerować rozsądnie dawki w czasie.

Gwałtowne opalanie się jest szkodliwe. Osobniki słabowite winny wzmoczyć swoją odporność nad swoim organizmem poprzez częstszą kontrolę lekarską.

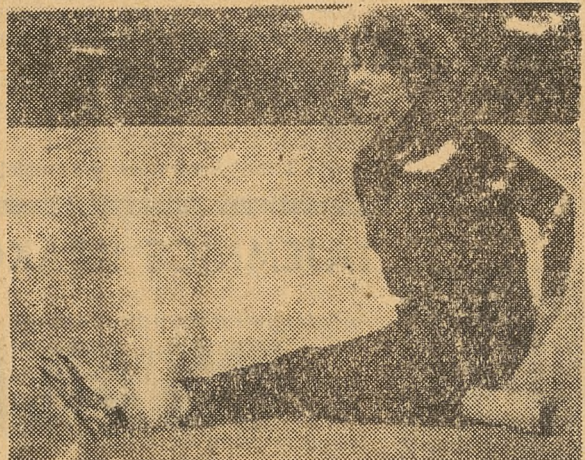
Niepoślednią rolę odgrywa w tym okresie również odżywianie. Ubogie w witaminę pożywienie nie pozwala człowiekowi na uzyskanie w pełni odporności i sprawności funkcjonalnej ustroju. Trzeba spożywać więcej soków owocowych, świeżego nabiału (jajka, śmietanka), kiszonek, cytryn i pomarańczy, a w ostateczności multivitaminu.

Rozmawiał: MIKOŁAJ KUPLOWSKI



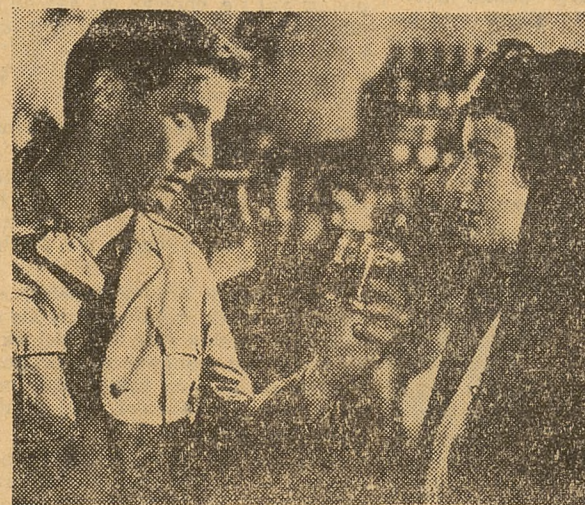
Loren na łyżwach. Próbuje, ale nie bardzo jej wychodzi ta jazda. Aktorka

przebywała w Paryżu. I w tym pięknym mieście nabrała się grypy.



Kapsułka z przesirzeni. Oto helikopter, który wyłowił pojemnik z zamkniętą w nim małpką nazwaną „panna Sam”. Po-

jemnik oddzielił się na wysokości przeszło 10 kilometrów od rakiety amerykańskiej i na spadochronie opadł do morza, skąd został wyłowiony.



FILM

„Gwiazdy”

Film reżyserii Konrada Wolfa z u-

działem młodej aktorki bułgarskiej — Saszy Kruszarskiej. Doskonały ten obraz uzyskał Nagrodę Specjalną w Cannes w roku 1959 i Złoty Medal na festiwalu młodzieży w Wiedniu.

ŻONA-XXII

(Dokończenie ze str. 4).

— ... Nie można zaprzeczyć, że XX-towieczne małżeństwo zupełnie mi odpowiada...

— I w moim pojęciu, kochanie, nabrało ono większych wartości, odpowiedziałem Tawii.

— A czy wszystkie wasze małżeństwa mają takie duże, wspólne łóżka?

— Naturalnie.

— Zabawne! Niezbyt higieniczne, co prawda, ale całkiem miłe!

W czasie takiej i tym podobnych konwersacji zapytałem raz:

— Przypuszczam, że teraz, kiedy już jesteśmy małżeństwem, nie potrzebujemy się obawiać tych twoich trzech prześladowców?

Potrząsnęła głową:

— Niestety. Zjawiają się tu na pewno. Wrócili do XXII wieku, aby dobrać strój odpowiedni do XX wieku.

— Pytam dlatego, kochanie, że niedługo kończy się mój urlop i będę musiał wrócić do pracy. Kto się będzie wtedy tobą opiekował?

— Do pracy? Po co? Zamiast pracować, możesz coś wynaleźć!

— Ja?... wynaleźć?...

— No, na przykład coś zamiast radia...

— Wprawdzie w RAF odbyłem kursy radawowe...

— Ach — przerwała mi zachwycona — pomyśleć, że walczyłeś w II wojnie światowej!

— Walczyłem.

— Ciekawe. Ale wracając do naszej rozmowy, to mógłbyś opatentować coś. Książki elektroniczne, albo coś takiego. Już ja ci coś podsunę z naszych osiągnięć!

Ale czy to będzie uczciwie?

— Dlaczego nie? W końcu każda rzecz musi być kiedyś przez kogoś wynaleziona, a kto ci udowodni, że ja uczyłam się w szkole zasad tego, co ty „wynajdziesz” już 200 lat wcześniej?

— W każdym razie muszę sobie to jeszcze przemyśleć.

Ktoregoś dnia, ni stąd ni zowąd pojawił się w naszym domu wujek Donald.

— Dzień dobry, Sir Geraldzie, miło mi ujrzeć pana znowu.

— To nie jest „Sir” Gerald, ale zwykły pan Lattery: nawiąsem mówiąc, wysłałam za niego za męża.

— Za męża — powtórzył zdziwiony — a po co?

— Ponieważ się kochamy, a tu właśnie w takich okolicznościach ludzie biorą ślub.

— Wiedziałem, moje dziecko, o twojej słabości do XX w., ale żeby aż tak się wzywać!

— Kochany wuju, przykro mi, że sprawiłam ci kłopot, ale oświadczam ci, że się stąd nie ruszę. Jestem tu najzupełniej szczęśliwa. Wróć i wytłumacz to im!

— Ale chronoklazm! moje kochanie, chronoklazm!

— A czy czytałeś dokładnie fizykę? Czy nie wiesz, że właśnie Gerald ma wynaleźć podwodne radio? A ktoś mu w tym pomoże, jak ja go nie pouczę?

— To mi rzeczywiście nie przyszło do głowy... no, dobrze, moje dziecko, zostań i bądź szczęśliwa. Ale błagam cię na wszystko, bądź ostrożna, bo wiesz, co z tego może wyniknąć! Wyobraź sobie np. siebie w roli swej własnej pra-pra-babki!

Nikt nam już więcej nie przeszkadzał i wzięliśmy się wreszcie do opracowania tego podwodnego radia — zadziwiające, jakie to proste, gdy się już wszystko wie! Musiałem naturalnie zająć się bezzwłocznie zabezpieczeniem praw patentowych. Tawia popędzała mnie z robotą, mówiąc:

— Nie wiem, kochanie, ile nam czasu zostaje. Nie mogę sobie przypomnieć, jaka była data na tym twoim liście... Pamiętam tylko, że była podkreślona. A wspominałeś tam, że twoja pierwsza żona cię opuściła. Martwię się tym, bo wcale nie mam zamiaru i ochoty od ciebie odchodzić, ale takie widocznie jest nasze przeznaczenie. I zamiast żyć z tobą spokojnie i szczęśliwie, muszę cię popędzać z robotą, bo przecież to byłby okropny chronoklazm, gdybyś nie zdążył zrobić tego wynalazku! Ale i tak od chronoklazmu się nie ustrzeżemy; czy wiesz, kochany, że spodziewam się dziecka?

— Tak, kochanie, dodała, gdy spojrzałam na nią radośnie i pytając zarazem — chyba nigdy dotychczas podróżującemu w przeszłość historykowi nie zdarzyło się coś podobnego! Wuj Donald będzie nieszczęśliwy!

— Do diabła z Donaldem! Do diabła z chronoklazmem! Musimy oblać tę szczęśliwą wiadomość, najdroższa!

Płynęły tygodnie. Miałem już załatwione patenty. Życie zapowiadało się pomyślnie. Otrzymałem tytuł szlachecki i teraz dopiero dr Gobie mógłby mnie nazywać śmiało „Sir Geraldem”, gdyby do nas zawitał.

I na tym się wszystko skończyło...

Pewnego grudniowego popołudnia, gdy wróciłem do domu, zastałem drzwi pootwierane, a moja ukochana Tawia znikła! Znikła, nie zostawiwszy mi ani słowa...

... a ja napisałem tę całą historię, aby kiedyś nie zapomnieć, że to się naprawdę zdarzyło... Aby dopełnić jednak naszego losu, muszę napisać ten list. A więc adres:

Do mojej ukochanej

Oktawii Lattery (otworzyć w dn. 6 czerwca 2160 r. w jej 21-sze urodziny)

„Moja najdroższa, jedyna, niezapomniana Tawio...”

Oprac. J. P.

CZY POTRAFISZ BYĆ WIERNY?

Nie chodzi tu o przywiązanie do barw klubowych, czy rodzinnego miasta. Pytania testu ujawniają skłonności, które w końcu decydują o tym, czy zachowanie wierności towarzyszy ci latami, czy też z trudem. Przy odpowiedziach jest wskazana jak najdalej idąca szczerść i dyskrecja. Lepiej gdy inni za dużo o nas nie wiedzą.

1 Czy potrafisz w czasie wolnym od zajęć zajmować się skomplikowanymi robotkami, bez narażenia się na ryzyko, że w pewnym momencie rzucisz wszystko na podłogę? tak = 15 punktów, nie = 0 punktów.

2 Czy masz niekiedy ochotę „wyrwać się” z kręgu ludzi, w którym żyjesz i odetchnąć innym powietrzem? tak = 0, nie = 10 punktów.

3 Czy przebywając w domu, starasz się, abyś była jak najstarszemu ubrana? tak = 20, często = 10, nie = 0 punktów.

4 Czy cieszysz się każdego dnia na myśl, że po skończeniu pracy będziesz mogła wypoczywać wygodnie i w zupełnym odprężeniu? tak = 0, nie = 15 punktów.

5 Założywszy, że wygrałaś na loterii większą ilość pieniędzy i możesz bez obawy na nowo układać sobie życie: Czy nie szukając innego zawodu wróciłaś do tego zajęcia, które wykonujesz obecnie? tak = 20 punktów, nie wiem = 10, nie = 0 punktów.

6 Założywszy, że miałabyś wolną rękę przy wyborze między dwoma zawodami. Na który byś się zdecydowała?

a) stewardesa na naszym statku oceanicznym (Batory)?

b) księgowa (posada na całe życie)?

a) = 0 punktów, b) = 15 punktów.



7 Czy chętnie bierzesz udział w plotkach na temat przyjaciół, koleżanek, lub znajomych? Chętnie = 0, okazjonalnie = 5, bierzesz udział, ale z niechęcią = 7, nie = 15 punktów.

8 Czy unikasz w zasadzie wszelkich trudności? tak = 0, nie = 15 punktów.



9 Czy masz jakąkolwiek „sympatię” (artystę filmowego, znanego sportowca, śpiewaka, albo swego szefa)? Szef oczywiście nie musi o tym wiedzieć. Chodzi o to, czy byłabyś skłonna dla wspomnianych osób „wszystko zrobić”? Tak = 0 punktów, nie = 25 punktów.

10 Czy chętnie samotnie udajesz się w dłuższe podróże? tak = 0, nie = 10 punktów.

11 Czy przyjąłabyś zajęcie na statku, mimo że warunki byłyby następujące: 8 godzin pracy dziennie, korespondencja i jakiegokolwiek porozumiewanie się z krewnymi w tym czasie wzbronione. Wszyscy pasażerowie pozostają nieznajomymi. Tak = 0, nie = 10 punktów.

12 Czy stwierdzasz niekiedy sama o sobie: „teraz zachowałam się nieodpowiednio”? Tak = 15 punktów, nie = 0 punktów.

13 Czy — jeśli wiesz, że musisz powziąć pewną decyzję — to wówczas:

a) robisz wszystko, aby ją przyspieszyć.

b) zachowujesz postawę wyczekującą, obserwując rozwój wypadków.

a) = 0 punktów, b) = 20 punktów.

14 Czy potrafisz sama wykonać pewne prace krawieckie? (uszyć sukienkę itp.), mimo, że to nie należy do twojego zawodu? tak = 20 punktów, nie = 0 punktów.

PROSZĘ ZLICZYĆ PUNKTY I PRZECZYTAĆ OCENĘ

Do 20 punktów:

Nie masz „zacięcia” do wierności. Cechuje cię chęć do różnych wyskoków. Jesteś opanowana przez żądze przygód i wrażeń. Tęsknisz za odmianą i przywiązanie do jednego miejsca nie odpowiada Ci. Dla urzeczywistnienia Twoich celów jesteś gotowa na wszystko. Twe nastawienie do życia jedni potępia, drudzy będą podziwiać nie bez pewnej zazdrości.

20—50 punktów:

W swej istocie nie jesteś wierna. Ze nią jesteś — to raczej skutek braku okazji. Jeśli „coś” się dzieje, to marzysz nie tyle o niewierności, co o nowych, nieznanych przeżyciach. To, że nie działasz bardziej aktywnie w tym kierunku uważasz za swą słabość.

50—120 punktów:

Tak duża rozpiętość obejmuje to, co można by określić jako — „w normie”. Oczywiście kobieta przy tej ilości punktów jest w swym pojęciu wierna. Ale niekiedy w zakamarkach duszy budzą się pragnienia, które można by nazwać pokusami. Pokusy te mogą bądź wzbogacić życie, bądź też przemienić je w piekło.

120 i więcej punktów:

Przy tej ilości punktów nie ma miejsca na niewierność. Stały charakter, usposobienie, wewnętrzna dyscyplina, zdolność do przystosowania się — wszystko to gwarantuje prawdziwą wierność. Dobrze jeśli taka kobieta ma wiernego męża, bo nawet w wypadku jawnej jego zdrady nie czułaby się wolną od swych zobowiązań.

J. M.

DLACZEGO HITLER GRYZŁ DYWAN

Przed laty w jednym z pism warszawskich wydrukowałem moje opowiadanie o wręcz nieprawdopodobnym wydarzeniu, zwracając się jednocześnie do czytelników w kraju i za granicą o pomoc w rozszyfrowaniu tej zagadkowej historii. Sprawa znalazła oddźwięk i otrzymane materiały pozwalają mi obecnie na możliwie wierne odтворzenie tego niesamowitego, ale co do fity autentycznego wydarzenia.

Był to miesiąc luty 1944 roku. Bestia hitlerowska, jak nadeptnięty jadowity wąż, podnosiła jeszcze łeb do góry, kąsała i pluła jadem. Wojska radzieckie jak taran gnioty i miażdżyły armie hitlerowskie, zmuszając hitlerowców do panicznej ucieczki. Mimo to hitlerowski terror wzmagął się, coraz bardziej dymiły piece krematoryjne, coraz głośniej skrzypiały szubienice, coraz silniej rozlegały się salwy plutonów egzekucyjnych na ulicach miast i wsi polskich.

Całą nadzieję pokładał Hitler w pociskach rakietowych V-1, których już ponad 50.000 leżało gotowych przy wyrzutniach zainstalowanych we Francji, Holandii, Belgii i Danii. Ponadto ukończono już nowego typu pociski V-2. Fabryki pracowały pełną parą. Radość Hitlera nie miała granic kiedy mu von Braun zakomunikował o jeszcze potężniejszym pocisku, nazwanym V-3. Padły natychmiast ostre rozkazy. Miała to być rewelacyjna broń strategiczna, która bezapelacyjnie przyniesie zwycięstwo Niemcom. Miała być kierowana zdalnie, ultrakrótkimi falami elektro-magnetycznymi. Końcowe próby z pociskiem V-3 odbywały się w okolicach Głomna na Mazurach. Kierował nimi profesor Erik Schmidt, prawa ręka prof. Wernera von Brauna. W końcu lutego 1944 roku, po drugiej, udanej próbie z pociskiem V-3 oficer lotnictwa wojskowego, oberleutnant Rertner, otrzymał ściśle tajne polecenie przewiezienia samolotem z Głomna do Hamburga serca rakiety — prototypu urządzenia kierującego oraz planów całej rakiety.

Lot oberleutnanta Rertnera i przydzielonego mu podoficera radiotechnika odbył się po południu, z lądowaniem na białeńskim lotnisku wojskowym w Warszawie.

Lot z Białeń do Hamburga miał się odbyć tegoż dnia o godzinie 22.30. Specjalny samolot Luftwaffe, typu Me 110 stał już na lotnisku białeńskim gotów do lotu.

W myśl rozkazów z Berlina cały III wydział warszawskiego gestapo został postawiony w stan gotowości. Nie to jednak nie pomogło. Wywiad angielsko-polski nie spał.

Kiedy oficer lotnik wraz z podoficerem, po obfitej kolacji, jechali samochodem na Białeń — na peryferiach stolicy, z nocnych ciemności wyłonił się patrol niemieckiej żandarmerii polowej. Dali znak. Auto stanęło. Rozpoczęło się legitymowanie. Lotnik się pienieł ze złości. Nagle obaj Niemcy otrzymali silne ciosy w głowę. Natychmiast ich rozbrojono i związano pozostawiając w aucie. Wszyscy Niemcy wsiadli do samochodu i odjechali.

— Ale odwaliliśmy dobrą robotę! — śmiał się w samochodzie „niemiecki żandarm”.

Skrepowanych Niemców zawieziono do małego domku przy szosie marymonckiej. Rozebrano ich troskliwie do naga. Oczywiście „niemieccy żandarmi” przez cały czas mówili po polsku. Byli członkami organizacji przeciwhitlerowskiej.

W niedługim czasie niemiecki pilot oraz podoficer zostali, po przebraniu ich w ubrania cywilne, wywiezieni gdzieś na wschód.

Kolega i mój serdeczny przyjaciel Seweryn S. był z za-

wodu precyzyjnym optykiem i radiotechnikiem. Pracował w Urzędzie Miar i Wag na ulicy Elekoralnej, który de facto był potajemną wytwórnią granatów i niesłychanie precyzyjnych, kieszonkowych radiodiodników typu „Konspi-rator”.

Jego uczciwość w pracy i odwaga, wynalazczy spryt i głęboka nienawiść do „szkopów” spowodowały, że stał się nieoceniony w czasie konspiracji i przygotowań do walki zbrojnej z okupantem.

Blondyn, niskiego wzrostu, szczupły, z bardzo miłą i sympatyczną twarzą o niebieskich oczach i małych, przyszytych wąsikach, zawsze spokojny, opanowany, robił wrażenie tak cichego, spokojnego i potulnego mieszkańca „Warschau”, że nigdy mu się nie zdarzyło, aby kiedykolwiek był zatrzymany i legitymowany przez mrowiących się na ulicach gestapowców. Ani przypuszczali, że to niewiniątko prawie stale nosi w swojej teczce granaty, zapalniki, plastik lub wspomniane „Konspi-ratory”.

— Urodził się w czepek! — mówiliśmy na zebraniach, które najczęściej odbywały się przy ulicy Foksal 18, w sklepie-drukarni Romana Strzednickiego.

Z kolegi S. majster był nie lada. Pamiętam jak kiedyś umilkła moja stacyjka radio-nadawcza typu „SKY TRAVELLER”. Przyjechał natychmiast na Żoliborz, pomajstro-wał kilka minut — i aparat ożył.

Owego pamiętnego dnia późnym wieczorem kolega Seweryn S. spożywał kolację w swoim mieszkaniu, przy ulicy Chmielnej 130.

Pięcioletni synek Cezary już spał w łóżeczku, przy stole zasiadła jego małżonka oraz czternastoletni syn Wiesław. Nagle rozległ się dzwonek u drzwi.

— Teraz gość? Godzina policyjna bliska! — zdziwił się — O Boże — może gestapo? — wyszeptała żona.

— Gestapo by już dawno drzwi butami rozwalilo — powiedział S. Szybko podszedł do drzwi i wpuścił „gościa”.

Był to wysoki, sympatyczny, elegancko ubrany mężczyzna.

— Czy pan Seweryn S.? — zapytał.

— Tak jest. Czemu mam przypisać wizytę o tej porze?

— Skierował mnie do pana Roman z ulicy Foksal.

— Słucham.

— Musi pan zaraz pojechać ze mną. Auto czeka przed bramą — mówił nieznajomy — godziny policyjnej możemy się nie bać, bo mam odpowiednie „ausweisy”.

Żona i syn przyglądali się ze zdumieniem nieznajomemu.

— Chodzi o pewną krótką robotę. Trzeba naprawić radio.

— mówił nieznajomy. — Potrawa to najwyższej godziny. Od-

FAKTY PLOTKI

Z WINDA CZY BEZ WINDY

Poczytny warszawski „Express Wieczorny” zadał swym czytelnikom pytanie co wola: mieszkania do 3 piętra włącznie pozbawione windy, czy życie na 7-10 piętrze w domu zaopatrzonym w windy. 4/5 z 3656 pytanego osób odpowiedziało: wolimy mieszkać niżej bez windy niż wyżej z windą.

FOTORAMA

Tak nazwał redagowane i obsługiwane li tylko przez siebie samego pismo dwutygodnikowe — fotografik Edward Wojtczak, zamieszkały stale w Londynie. W pierwszym numerze tego czysto fotoreporterskiego pismka zamieszczono 62 fotografie. Redaktor twierdzi, że pismo powinno kilka miesięcy wytrzymać.

DOSWIADCZONY

W parlamencie brytyjskim wybuchła dyskusja nad książką Nabokova „Lolita”. Zabronić tej nowości w Anglii czy nie zabronić, przecież jest to historia wysoce niemoralna o 12-letniej dziewczynce — kochance swego opiekuna. Deputowany Herbert broniąc książki oświadczył: „Nie znalazłem w niej nic, czego bym sam nie przeżył”.



Szał naszyjników

W tym sezonie mają podobno ogromne powodzenie naszyjniki. Im większy, tym ładniejszy. Niezależnie od tego, czy prawdziwy, czy sztuczny, czy z szluczków brylantów. Moda naszyjników datuje się nie od dziś i jej nawroty atakują od

czasu do czasu. Pół wieku temu odbył się właśnie taki atak i uległa mu nawet królowa angielska Mary, babka królowej Elżbiety. Obecnie naszyjniki lansuje Dior a pierwszą ofiarą mody jest Elisabeth Taylor, którą widzimy z mężem Eddie Fisherem.

TAJEMNICE KRAKOWA

NARKOMANI

„Zaglądam do obcych okien, czytam wszystkie szyldy w domu, w którym mam złożyć wizytę, przetrząsam cmentarze w poszukiwaniu znanych nazwisk. Obojętnych ludzi pytam o ich życie. Niezwykle nazwy ulic zmuszają mnie do zbadania, czemu się tak nazywają. Przetrząsnąbym każdą rupieciarnię, każde „Wstęp wzbroniony” nęci mnie do wstępowania, każde tajemnicze — do śledzenia”. (Egon Erwin Kisch).

Wśród zaludniających mą pamięć sylwetek ludzi, z którymi kiedyś zetknąłem się w mniej lub bardziej ciekawych okolicznościach, mający niewyraźną postać młodego, bladego człowieka. Niski czy tylko przygarbiony, o przejrzystym, pozbawionym wyrazu spojrzeniu, przemyczał czasem pod ścianami ciemnego korytarza, nie zwracając na siebie niczyjej uwagi. Ta jego jakaś szarość uderzyła mnie.

Kilka dni potem otwarły się drzwi mojego pokoju.

— Dzień dobry! — rzekł energicznym głosem wchodzący — Jestem nowym pracownikiem działu X. Interesują mnie niektóre ze spraw, które wy, kolego, prowadzicie. Proponuję moją współpracę!...

Z trudem poznałem w nim niepozornego, milczącego pielgrzyma mrocznych korytarzy. Teraz był wyższy, mówił stanowczo, twarz nabrała wyrazu. Wyjaśnił w logiczny sposób powiązania obu naszych działań i przedstawił plan współpracy. Było to przekonujące, nie widziałem więc żadnych przeszkód w przyjęciu propozycji.

Minęło kilka dni. Nowy kolega nie pokazywał się, chociaż już dawno minął umówiony termin. Wreszcie przypadkiem natknąłem się nań na korytarzu i zagadnąłem o wiadomą sprawę. Zatrzymał się niezdeterminowanie.

— A, tak... — rzekł bezbarwnym głosem — no, znaczy, ja... tego...

Ze zdziwieniem dostrzegłem, że był znów jak gdyby niższy, przygarbiony, spojrzenie utkwione w podłogę. Wydawało się, że w ogóle nie słucha, co doń mówię.

Zapomniałem prawie zupełnie o tym epizodzie, kiedy znów otwarły się drzwi i przybył dziwny gość. Ob. N., jak gdyby nigdy nie, ponowił swą propozycję. Poprosiłem go, aby usiadł. Byliśmy sami w pokoju, Panował upał letni, byliśmy bez marynarek.

— To bardzo interesujące — powiedziałem — chciałbym, byście bardziej szczegółowo omówili wasze plany.

Kolega N. był ożywiony — mówił, mówił, ja — słuchałem. W pewnym momencie niespodzianie podwinąłem mu rękaw koszuli. Całe przedramię pokryte miały dziwnymi bliznami...

Gwałtownie zerwał się od biurka. Chwilę w milczeniu patrzyliśmy na siebie. A potem cicho zamknął za sobą drzwi. Następnego dnia nie przyszedł do pracy. Wkrótce potem Milicja poinformowała naszą instytucję, że ob. N. został aresztowany w aptece podczas u-

siłowania podjęcia na sfalszowaną receptę — morfiny.

*

Tak... Morphinum hydrochloricum jest jednym z 25 alkaloidów wchodzących w skład opium — mlecznego, stężonego soku z niedojrzałych makówek. U nas morfina jest najbardziej poszukiwanym i pożądanym narkotykiem — dlatego, że większość naszych narkomanów — to właśnie „morfiniści”. (Oczywiście, wylączamy z naszych rozważań alkoholików).

Ilu ich jest? Są sprawy wymykające się wszelkiej ewidencji i statystyce. Pytałem ludzi najlepiej w tej dziedzinie zorientowanych. Zdania ich były rozmaite. Może dziesiątki, może setki, w każdym razie — nie tysiące.

Teśknota za euforią

Nikt nie rodzi się morfinią. Pierwsze zetknięcie z narkotykiem następuje bardzo często podczas jakiejś choroby wymagającej zastosowania morfiny. Jeśli trafiło to na jednostkę o pewnej predyspozycji psychicznej, o małej odporności, niezdolnej do współżycia z otoczeniem, mającej konflikty z nim i... samym sobą, w pamięci pozostaje wspomnienie euforii wywołanej działaniem narkotyku. Po pewnym czasie budzi się teśknota za tym stanem dobrego samopoczucia, w którym przestają istnieć wszelkie troski, zmartwienia i dolegliwości, zastąpione niezachwianym optymizmem. Ale wszystko to kończy się, gdy przestaje działać morfina. Pojawia się zwyczajne życie, jego codzienne radości tracą swe normalne wymiary, wszystko staje się niczym wobec stanu euforii.

Niepostrzeżenie teśknota za euforią przekształca się w straszliwy głód narkotyku. Dochodzi się z czasem do dawek, które zabijają człowieka nie przyzwyczajonego. Pojawiają się bolesne dolegliwości: morfina atakuje zżak centralny układ nerwowy, serce, wątrobę, nerki. Dolegliwości chwilowo uśmierza tylko nowa iniekcja... Ale wreszcie potężne nawet dawki nie wywołują pożądanego efektu.

Próbuje się więc innych narkotyków, kombinuje je z alkoholem, który można nabywać bez ograniczeń. Gorzej jednak jest z narkotykami. Recepty są ściśle ewidencjonowane. Władze Służby Zdrowia prowadzą bardzo dokładną kontrolę. Jeśli zatem narkomanem jest nawet sam lekarz, nałóg jego nie da się długo ukrywać. Skoro jednak niełatwa jest sytuacja lekarza-narkomana, o ileż trudniejsze zdobywanie narkotyków jest dla ludzi nie mających absolutnie dostępu do nich. A głód morfiny jest siłą podporządkującą sobie zupełnie ofiarę nałogu.

Pewna kobieta w Krakowie poddała się pięciokrotnie poważnym operacjom, aby przy tej okazji otrzymać zastrzyk morfiny. Dla symulowania przestudiowała niesłychanie dokładnie literaturę medyczną dotyczącą udawanej przez nią choroby.

Degradacja osobowości

Falszerstwa recept to najczęściej stosowana droga. Jeden z krakowskich narkomanów (zawdłużający zresztą straszny nałóg swej matce-morfiniście) opracował własny system podrabiania pieczęci lekarzy. Ze zrozumiałych względów nie mogę podać, na czym rzecz polegała. Powiem tylko, że było to bardzo proste, nie wymagało żadnych umiejętności grawerskich czy chemigraficznych, a mimo to uzyskiwało się odtwórcę wręcz... autentyczne, gdyby nie to, że były sfalszowane. Gdy uniemożliwiono mu podrabianie recept (stał się znany), opracował własną recepturę domowego wytwarzania opium...

Są w Krakowie małżeństwa narkomanów. Jedno z małżonków, które wcześniej już zetknęło się ze strzykawką i szklanymi ampułkami, wciąga drugie w świat morfiny...

Nieszczęśliwi ci ludzie często samorzutnie zgłaszają się do klinik psychiatrycznych, błagając o leczenie, o wywołanie z pięć nałogu. Leczenie trwa, odwykowe polega na stosowaniu coraz mniejszych dawek narkotyku głównego z zastępowaniem brakującej części innym narkotykiem podobnym w skutkach, lecz nie wywołującym przyzwyczajenia. Jakże często po pewnym czasie wyleczony pacjent znów się zgłasza, znów prosi o ratunek...

Jeżeli można wierzyć opowiadaniom narkomanów, których prawdziwość wobec degradacji ich osobowości jest wątpliwa, są oni często wykorzystywani przez ludzi dostarczających lub umożliwiających nabycie narkotyku. Pewien zmarły już morfista, ongiś człowiek bardzo zdolny i o wielkiej wiedzy, twierdził, że w ostatnim stadium morfizmu, kiedy nie mógł już zarabiać, w morfinę zaopatrywał go młodszy kolega w zamian za opracowanie dlań pracy naukowej...

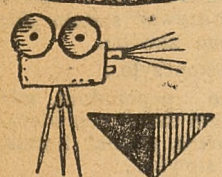
Ostatnio zaobserwowano w Krakowie zwiększenie się liczby fałszowanych recept. Spowodowało to krakowski Wydział Zdrowia do wydania zarządzenia, w myśl którego personel aptek będzie legitymował osoby odbierające narkotyki. Jest to posunięcie zupełnie zrozumiałe. W tych sprawach nie ma zbytku ostrożności. Na szczęście daleko nam do takiego upowszechnienia narkomanii, jakie istnieje w niektórych krajach Zachodu, a zwłaszcza w Stanach Zjednoczonych, ale licho nie śpi!

Zresztą narkotyzować się można nie tylko morfiną, opium czy kokainą. Są w Krakowie ludzie zażywający dzień nie po 20 proszków od bólu głowy. Więc ostrzeżenie: ostrożnie nawet ze zwykłymi, poczywnymi „tabletkami z krzyżykiem”!

*

Na tropach narkomanii w Krakowie napotkałem ślad wspomnianego na wstępie ob. N. Kiedy po przymusowym leczeniu znalazł się znów na wolności, usiłował dokonać fałszerstwa w jednej z gier liczbowych. Obecnie odsiaduje karę więzienia.

Adresy AKTORÓW



Następna porcja tych adresów:

Jean Simmons — 800
bel Air Road Los Angeles 24 California USA.
Clark Gable — 4525
Pettit Street Encino California USA.

Maurice Ronet („Winda na szafot”) — 229 Fg St. — Honore, Paris 8
Francja.

Sonia Ziemann — Berlin — Dahlem, Bitterstrasse 37.



wiozę pana samochodem. Niechże pan się ubiera, szkoda czasu.

Seweryn zwrócił się do żony.
— Kolację zjem jak wróję. Widzisz, że jakaś pilna robota.
— Za godzinę będzie pan z powrotem! — zapewniał nieznajomy.

Seweryn ubrał się szybko, wsadził do teczki niezbędne narzędzia i wyszedł z nieznajomym.
Przed bramą stało małe, sportowe auto, marki „Aero”. Wsiadli i auto pomknęło po ulicach Warszawy, kierując się w stronę Bielan.

Było ciemno, tu i ówdzie przebijały tylko zaciemnione latarnie. Stanęli na szosie marymonckiej, przed jakimś małym domkiem.

— To tutaj. Wylądajmy! — powiedział nieznajomy.
Udał się razem. Nieznajomy zapukał w jakiś umówiony sposób. Drzwi uchylły się bezgłośnie. Weszli do jakiegoś pokoju. Nieznajomy przekreślił kontakt elektryczny. Pokój zajął światłem. Był pusty. Tylko pod ścianą stała szafa. Nieznajomy wyjął z szafy niemieckie mundury i białiznę i rzekł:

— Przebieramy się, ale szybko!
Seweryn stał jak skamieniały. Nic nie rozumiał.
— Proszę się zupełnie rozebrać i rzucić nawet białiznę. Wioży pan te białiznę wojskową, niemiecką, oznaczoną stemplami, oraz mundur, spodnie i te buty. Jest to mundur podoficera radiotechnika niemieckiego. Ja się przebieram także w mundur lotnika-oberleutnanta!
— Panie, co pan? Jak Boga kocham! — jęknął oszołomiony Seweryn.
— Wszystko dla dobra naszej sprawy. Dostaliśmy rozkaz — musimy go wykonać — powiedział nieznajomy.
— Ale ja nic z tego nie rozumiem! Co to wszystko ma znaczyć? Po co ta maskarada? — pytał zdenerwowany Seweryn.

— Dowie się pan wszystkiego, jak przyjdzie czas. Aby do-
trzeć do celu musimy się przebrać. Cała zabawa potrwa kil-
kanaście minut i odwiozę pana do domu. Proszę mi całko-
wicie zaufać!
Mówił to tak spokojnym głosem, że Seweryn machnął ręką i zaczął ściągać z siebie ubranie. Po pewnym czasie nie-
znajomy był w mundurze oberleutnanta-pilota, zaś Seweryn
przeobraził się w niemieckiego podoficera radiotechnika.
Kolega opowiadał mi później, że przez cały czas był jak
półprzytomny i jakby zahipnotyzowany przez nieznajomego.
— No, teraz jesteśmy dobraną parą! — roześmiał się nie-
znajomy. — Proszę teraz za mną. Niech pan się niczego nie

obawia i niech pan mi bezgranicznie ufa. Wszystko się skoń-
czy raz-dwa i na medal!

Zgasił światło w pokoju i wyszł, kierując się do auta.
Po chwili mknął prosto w kierunku lotniska bielańskiego.
Wkrótce stanęli przed wielką bramą lotniska. Na sygnał
brama się otworzyła. Widocznie i samochód i jadące w nim
postacie były dobrze znane wartownikom niemieckim, bo
nawet nie legitymowali.

A oto co dalej opowiadał kolega S.
— Poznałem, że to lotnisko na Bielanach. Poczuję, że całe
moje bohaterstwo diabli wzięli. Nogi pode mną drżały i
trzęsły mi się ręce. Czułem, jak moja niemiecka pilotka za-
czynna mi się unosić na głowie — włosy stawały dęba.

— A tom wlaży, jak śliwka w kompot! Zeby mnie cho-
ciaż uprzedzili! — myślałem. Bałem się śmiertelnie, że któ-
ryś szwab zagada do mnie po niemiecku — bo przecież ja
po niemiecku ani be, ani me! Bodaż to siarczyste pioruny!

— Odwagi — szepcze nieznajomy — proszę mi ufać. Do
nikogo się nie odzywać. Niedługo będzie pan w domu!
Poszliśmy obaj w stronę hangarów. Widzę, że warta od-
daje nam honory. Nabieram pewności siebie i kroczę coraz
pewniejszym krokiem. Co prawda w wojsku nigdy nie słu-
żyłem — ale uszło! Nieznajomy każe mi zaczekać przy ja-
kimś budynku a sam wszedł do środka.

— Oj będę ja miał ładną kolację! — pomyślałem.
Rozglądam się dookoła. Niedaleko stoi potężny myśliwiec,
Messerschmitt „Me 110”. W pewnej chwili rozpalają się
reflektory — jest jasno jak w południe.

Nieznajomy podchodzi do mnie i szybkim krokiem pro-
wadzi mnie do Me 110.
— Oto pańska robota — mówi do mnie — proszę przełą-
czyć te skrzyżowane kabelki w odwrotnym kierunku.
Zabieram się szybko do roboty. Po kilku minutach do-
konałem pracy, której, niestety, ani w ząb nie rozumiałem.
— Chodzi mi o zmianę sygnalizacji — szepcze mi nieznajomy.

Czułem, że mi w gardle zaschło, jednakże oddycham
z ulgą. Robota odwalona, zaraz odwiezie mnie do domu.
— Teraz odwiezie mnie pan? — pytam nieznajomego.
Nieznajomy uśmiecha się tajemniczo i mówi:

Owszem. Nie odwieżę, ale podwiożę pana! Niech pan
siada! Szybko! I wskazuje mi drzwiczki samolotu.
Świat zawirował w moich oczach. Struga ze mnie wariata,
albo sam wariat! Chce mnie odwieźć samolotem na Chmielną?
— Słyszałem tyle o panu — jesteś pan dzielny i odważ-
nym człowiekiem! Niech pan się nie waha! Szkoda czasu!
Proszę mi zaufać — nie będzie pan tego nigdy żałował!

Sam nie wiem kiedy i dlaczego, jakim sposobem, ale
szybko znalazłem się w kabinie Me 110, obok pilota, któ-
rym jest nieznajomy. Jak przez mgłę słyszę głosy Niem-
ców. Skóra na mnie ciępnie. To mi zimno, to gorąco. Jed-
nym słowem czuję się jak mysz pod miotłą. Zdesperowany
zamykam oczy i czuję, wśród piekielnego hałasu, że sa-
molot pędzi po trawie i szybko odrywa się od ziemi.

— Panie szanowny! Co się dzieje, jak Boga kocham! —
krzyczę wreszcie w stronę nieznajomego.
Pilot szelma uśmiecha się tylko do mnie i mruga łobu-
zersko okiem.

Aleśmy ich wykiwali! — powiada. — teraz wszystko pó-
jdzie jak z płatka!
Lecimy i lecimy. Co pewien czas na twarzy, poprzez
zamknięte oczy, czuję światła mocnych reflektorów. Ma-
cają nas. Lecimy prawdopodobnie coraz wyżej, bo w dołku
coś szarpie i mdli.

Jak długo lecieliśmy — nie wiem. Czułem tylko, że jestem
półprzytomny z wrażeń, że to wszystko imaginacja, zły sen.
Tam żona czeka z kolacją, patrzy na zegar, niepokoi się,
zalamuje ręce — a ja tu, gdzieś wysoko w powietrzu,
diabli wiedzą gdzie i po co! Widzę czerwone, wirujące zy-
gaki wokół siebie, czuję, że gdy to dłużej potrwa — osza-
leję.

Pilot przez cały czas milczał. Po pewnym czasie samolot
nasz znalazł się w kleszczach jasnych, parzących oczy
reflektorów.

— Lądujemy! — zawołał pilot.
Uczułem niemiłosiernie ścisnięcie w żołądku. Otworzyłem
oczy i stwierdziłem, że jesteśmy już na lotnisku.
— Uff! — odetchnąłem głęboko. Nareszcie koniec tej
wariackiej jazdy!

— Wychodzimy! — mówi pilot i ciągnie mnie za rękę.
Wylażę z nieklamanej radością. Pilot zobaczył moją widać
trupio-białą twarz w świetle reflektorów, bo poklepał mnie
po ramieniu i mówi, jak by chciał mnie pocieszyć i uspo-
koić:

— Odwagi! Jesteśmy w Hamburgu!
— Gdzieeee? — wyjęczałem i rozejrzawszy się zobaczyłem
na budynku duży napis: HAMBURG.
Gdybym się nie oparł o samolot — byłbym na pewno
klapnął na ziemię.
— Rany boskie! Gdzie on mnie wozi? Po co? — szepta-
łem. — Pilot poleca mi, głosem nie znoszącym sprzeciwu,
zaczekać przy aparacie. Sam odchodzi i znika we wnętrzu

(Dokończenie na str. 8)



Trochę mody
Na okres zbliża-
jącego się (nieste-
ty, bardzo powoli)
przedwiośnia Paryż



lansuje nowe mode-
le. Modne są stroiki
dwuczęściowe, a za-
miast płaszczy —
kurtki.

W RZESZOWIE GŁOŚNO

Dobrze już pod siedemdziesiąt-
kę sio Pawłowi, gdy jak
grom z jasnego nieba spadło nań
oskarżenie o... alimenty. I to od
kogo? Od przybranej córki Mar-
cysy.

Paweł i Jadwiga byli od lat
małżeństwem. Wszystkiego było
w bród. Pole 10 ha, zabudowania,
bydło, konie, komory pełne... I
poszanowanie we wsi miał i w
gromadzie zasiadał.

Niestety nie było tego co dla
chłopa jest największą podporą —
dziedzica. Tego mu los poskąpił.
Wzieli więc po naradzie z żoną,
paromiesięczną znajdę na wycho-
wanie, nie wiadomo przez kogo
we wsi podrzuconą. Będzie
w chałupie weselej — cieszyli się.
Wyniańczyli maleństwo. Z bie-
giem lat wyrosło na przystoj-
ną dziewczynę. A przede wszyst-
kim dobre dziecko. Starzy ją ko-
chali, traktowali jak własną córkę
i zwolna żyli się z myślą, że
Marcysia zostanie ich spadko-
bierczynią, lub wywianują ją pa-
roma hektarami ziemi.

I byłoby wszystko biegle zapla-
nowanym szlakiem, gdyby nie za-
okraglająca się od pewnego czasu
postać Marcysi. Zaskoczyło to
starych. Poza zwykłymi zalecan-
kami chłopaków do dziewczyny
— niczego nie można było stwier-
dzić. Domu prawie nie opuszcza-
ła, Marcysia zapytywana — mil-
czała. I nim starzy podjęli jakąś
decyzję, Marcysia urodziła chło-
paka, a zaraz potem nadeszło owo
oskarżenie.

Kij w wiejskim mrowisku. Pa-
weł z Jadwigą przeżyli życie o-
mal w idealnej zgodzie. Teraz
jak ci nie wstyd stary, takie
dziecko... Ty świntuchu, itd. —
rozżalała się, piekliła a i pom-
stowała wierna towarzyska ży-
cia. I we wsi śmiech, autorytet
Pawła diabli wzięli.

Na rozprawie sądowej Mar-
cysia wstrzemięźliwie w słowach,
ale uporczywie wskazywała na
sprawcę: Pawła. Dopadł ją wio-
sna, kiedy żona pojechała na
targ. Potem jeszcze parę razy.
Kochała go wprawdzie jak ojca,
no ale tyle mu zawdzięcza, przy-
garnął ją, wychował.

Przysięgał się Paweł, że to osz-
cerstwo, że niewinny jak dopie-
ro co narodzone dziecko — jego
rzekomy syn. Następną i ostate-
czną rozprawę wyznaczono za pa-
rę tygodni.

Paweł był nieszczęśliwy. Prawo
stało bezwzględnie po stronie
dziewczyny. Ale jak udowodnić
brak swego udziału w wierzący-
m różowymi nóżkami „fakcie”.
W domu nie sposób było wysie-
dzić. Marcysia wyrzucić — Jad-
wisia ją mimo wszystko broniła.
Pewnie przez babską solidarność.

JEDNA MATKA I TRZECH OJCÓW

Przynajmniej do czasu aż mały
podrośnie. Wszyscy z Pawła pok-
piwali, włożył się po polach, do-
glądał robot, sam się ich chwyt-
ał — nie szło. Drzazga siedziała
głęboko.

Coś mu w głowie świtało, ale
— jak to udowodnić?

Właśnie siedział pod lasem, gdy
nadszedł stary przyjaciel i kum.
I on nie oszczędzał Pawła. I on
wierzył jak i wszyscy, że Paweł,
że w starym piecu diabeł pali...

— No, przynajmniej się samiśmy.
— Józio, jak Boga kocham nie
ja.

— Wię kto?
— Nie wiem. Marcysia poszła
raz na zabawę, ale bez nas.

— Zalecali się do niej?
— Jak to chłopaki. Ale raz...

I Paweł opowiadał. Był we
wsi Antek, niepoń, bez ojca i
matki, bez majątku, pijak obdar-
tus. Wszyscy go omijali jak ostat-
nie ładco. Choć nim pogardzali,
— uganiał za dziewczuchami. Przy-
czepił się i do Marcysi. Raz w nie-
dziele gonął ją na drodze. Wszyscy
to widzieli, a nawet wpadł za nią
w krzaki. Wprawdzie ona mu się
wymknęła, no ale kto to wie...
Może na tej zabawie.

Stare przysłowie mówi — gdzie
diabeł nie może, tam babę pośle,
w tym wypadku jednak posłał
chłopa. Długo szepotali między so-
bą starzy. We wsi wielu widzia-
ło potem, jak Paweł rozmawiał z
tym nieponiem Antkiem. Do re-
szty zwirował — mówiono.

Na drugiej rozprawie przed są-
dem stanął Antek. — On jest oj-
cem dziecka Marcysi. Nie może
być inaczej. Marcysię kocha i
teraz, gdy ma z nią dziecko usta-
kuje się i pobiorą się.

Więc który? — zapytał Mar-
cysię Wysoki Sąd.

— Co? — Ja z takim chłyst-
kiem? — uniosła się Marcysia.
Zagrała w niej duma gospodar-
skiej dziewczyny, a nie żadnej
łazęgi. Z takim ochlapusem?
Przecieżbym wstydu nie miała.

— Więc kto? — cierpliwie py-
tał sąd.

— Ani ten ani tamten.

— Więc kto — rzeczowo powta-
rzał sąd.

Marcysia poczerwieniała. Od-
wrotu nie było.

— A... Andrzej — wyszlocha-
ła.

Pomiedzy Pawłem a sąsiadem
Mateuszem trwał od dłuższego
czasu spór o tak zwaną międz-
zwykłe sąsiedzkie nieporozumie-
nia. Obaj byli we wsi poważani,
więc wstrzymywali się od otwar-
tych grózb, a zwłaszcza ze oby-
dwóch hamowały ich zazdrość o
swe wpływy w wiosce. Lecz głębo-
ka niechęć trwała. Ona stała się

przyczyną, z powodu której ani
Andrzej — syn Mateusza, ani
Marcysia — przybrana córka Pa-
wła nie mogli ujawnić swej mi-
łości, a tym bardziej pobrać się.
Ponieważ im się paliło, postano-
wili „ubrać” Pawła w ojcostwo.
Gdy wygram sprawę o alimenty
— mówiła ukochanemu Marcysia
— jakoś się później ze starym
pogodzę, dostanę obiecane mi
hektary, wtedy się pobierzemy.

Jak się to całe qui pro quo
skończyło? Całkowitym porozu-
mieniem, zgoda no i najważniej-
sze — wesele młodych. Wysoki
sąd okazał wyrozumiałość dla
niepełnoletnich Marcysi i Antka.
Antek się ustakował, chodził
czysto i schludnie ubrany. Cie-
kawskich, skąd ma pieniądze,
zbywał krótko: wygrałem w „Ko-
niczynkę”. Bo działało się to
wszystko nie tak dawno, w pew-
nej wiosce jednego z naszych po-
łudniowych powiatów.

Na tle tej autentycznej historii
można by wiele snuć rozważań
na temat niedoskonałości para-
grafów i przemożnej siły ludz-
kich instynktów. Nie wchodźmy
jednak w parady prawników i fi-
lozofów. Vis comica życia kpi od
czasu do czasu z nas wszystkich.

**Nie zostawił majątku —
nie pochował**

Inny, ciekawy wypadek zanoto-
wała ostatnio Prokuratura Po-
wiatowa w Rzeszowie.

Obywatel Z. upił się na zaba-
wie i zmarł. Zwłoki znalezione w
ogródku niedaleko domu w Rze-
szowie, w którym mieszkał. Z u-
rzedu sprawą zajął się prokura-
tor. Przeprowadzona na jego zle-
cenie sekcja zwłok wykazała pe-
wne wady serca zmarłego, toteż
alkohol przyspieszył zgon.

Ponieważ rodzina zmarłego nie
była nikomu znana, fakt zgonu o-
głoszono publicznie, wzywając
rodzinę do pochowania niebosz-
czyka. Istotnie zgłosiła się jego
siostra, zamieszkała w Polonii
pow. strzyżowskiego. Ale po zb-
daniu stosunków majątkowych
brata odmówiła sprawienia po-
grzebu na swój koszt, względnie
na koszt rodziny. Gdy zdziwiony
prokurator zapytał o przyczynę,
otrzymał zdumiewającą odpo-
wiedź: brat nie zostawił żadnego
majątku, więc nie zapłacę mu
pogrzebu. Ostatecznie zwłoki —
po dziesięciodniowym przechowy-
waniu ich w kostnicy, pochowa-
no na koszt państwa.

Wypadek ten rzuca charakte-
rystyczne światło na pewne sto-
sunki obyczajowe, panujące jesz-
cze na wsi rzeszowskiej.

Piotr Kania



(ciąg dalszy)

ALFABETYCZNY SŁOWNIK SAMOCHODOWY

cyl. — cylinder. P. — pojemność w cen-
tymetrach sześciennych, o/min. — obro-
ty na minutę, gaź. — gaźnik, synchr. —
synchronizowane (o biegach), Kabr. —
kabriolet (wóz z podnoszonym dachem),
lim. — limuzyna (zamknięte pudło samo-
chodu), zużpal. — zużycie benzyny w li-
trach na 100 kilometrów przebiegu,
Maks. szyb. — maksymalna szybkość w
kilometrach na godz. To wszystko. Pro-
simy czytać i wyciągać. Po złożeniu po-
szczególnych odcinków zawierających ha-
sla od A do Z, będziecie w posiadaniu
jedynego swego rodzaju encyklopedii
samochodowej.

STANDARD

Ten
4 cyl. 948 cm sześć. 37,5 koni przy
5000 obr. Spręż. 8. Waży 720. Pije 8.
Maks. szyb. 113.

STEYR

(Austria) Steyr.
500
2 cyl. 493 cm sześć. 16 koni przy
4600 obr. Spręż. 7,5. Gaźnik Weber
lub Solex. Silnik z tyłu. 4 biegi
synchr. Karoseria nośna. Kabriolet
4 miejsca. 440 ciężar. Pije 5. Maks.
szyb. 100 na godz.

STUDEBAKER

USA. Indiana, Sut
Lark VI
6 cyl. 2779 cm sześć. 90 koni przy
4000 obr. Spręż. 8,3. Gaźnik Carter.
3 biegi synchr. półaut. Ciężar 1180.
Pije 12 litrów. Maks. szyb. 135.
Istnieją też olbrzymy: Lark VIII,
Silver Hawk, — maks. szyb. do 170
na godz.

SUNBEAM

London, Piccadilly. Devonshire House.
Rapier II
4 cyl. 1494 cm sześć. 73 KM przy 5200
obr. na min. Spręż. — 8,5. 2 gaźniki
Zenith. 4 biegi synchr. Karoseria
samonośna. 4 miejsca w coupe
lub kabrioletcie. Ciężar — 1030. Zu-
życie paliwa — 9,51. Maks. szyb.
— 150 na godz.

ALPINE

4 cyl. 1494 cm sześć. 83,5 KM przy
5300 obr. Spręż. — 9,2. 2 gaźniki
— Zenith. 4 biegi synchr. Karoseria
samonośna. Coupe albo kabriolet.
2—4 miejsc. Ciężar 944 kg. Zużycie
paliwa — 9,5. Maks. szyb. 160 na
godz.

SYRENA — FSO

Warszawa, Żerań, Stalingradzka 13.

SYRENA

Dwusuw. (dwutakt) 2 cyl. 746 cm
sześć. 27 KM przy 3800 obr. na min.
Spręż. — 6,8—7,4 biegi (niesynchr.)
Coupe — 4 miejsca. Ciężar — 921
(w stanie gotowym do drogi) kg. Zu-
życie paliwa 6,8—7,4 (eksploatacy-
jne do 9,6 l). Maks. szyb. — 100—105
km na godz.

c.d.n.

jakiegoś budynku. Do samolotu podbiegają Niemcy. Zaczyna się czyszczenie, smarowanie, tankowanie benzyny.

Stoję jak trusia i tylko proszę Boga, aby żaden z tych szkopów nie przemówił do mnie! Postanowiłem w razie czego udawać głuchego.

Na szczęście wraca mój „cholerny” pilot. Chowa po drodze jakieś papiery do kieszeni. Bierze mnie pod rękę i prowadzi do kantyny. Pijemy czarną kawę!

— No, już czas! Jedziemy! — powiada mój pilot, wstając od stołu.

— Wracamy? — pytam.

— Niech się pan tylko nie denerwuje. Wszystko będzie dobrze. Wróci pan do domu żywy i cały — pociesza mnie pilot.

Wkrótce siedziałem wtulony w fotel. Samolot leciał na dużej wysokości. Pomału zacząłem odczuwać pewnego rodzaju odprężenie, boć przecie kończy się ta wariacka eskapada i wkrótce wylądujemy w Warszawie.

Nagle pilot nachyla się do mojego ucha i mówi:

— Jedziemy nad Londyn!

Krew mi uderzyła do głowy! Tego już za wiele!

— Co? Czyś pan zwariował? Ja protestuję! To gwałt! Krzyczę, ale to nie pomaga. Czuję się, jak by na mnie chluśnięto kubel lodowatej wody.

Pilot uśmiecha się tylko i mówi:

— Spokojnie! Spokojnie! Trzymać nerwy w garści! Wszystko będzie dobrze! Kiedyś będzie mi pan dziękował!

— Niech pana najjaśniejszy piorun! — krzyczę — Jak można było nie uprzedzić mnie? Po co oszukuje mnie pan przez tyle godzin?

Pilot, szelma, tylko się śmieje.

— Gdybym pana uprzedził — nic by z tego nie wyszło! — krzyczę mi w ucho — Spokojnie i odwagi! Zaraz się skończy cała zabawa!

Siedzę oszołomiony i powoli znowu się uspokajam. Boć czy nie wszystko jedno, czy teraz kark skrócić, czy być rozstrzelanym na ulicach Warszawy? Raz kozie śmierć! Szkoda mi żony i dzieci, ale co robić? Widocznie sprawa jest warta poświęcenia!

— Mój, Boże! — mówię do pilota — żebym chociaż uprzedził żonę, że jadę do Londynu!

Pilot wybucha śmiechem.

— Tego tylko brakowało! — krzyczy, do mnie. Teraz proszę dobrze uważać. Jak dam znak — otworzy pan drzwiczki i wyrzuci pan ten zielony worek na spadochronie. Nic więcej od pana nie wymagam. Proszę tylko dobrze uważać!

Kiwiałem głową na znak zgody, bo nic innego nie mogłem uczynić. Gdyby mi kazał skoczyć — też bym skoczył! Byłem zlamany i zupełnie zrezygnowany.

Nagle usłyszałem huk artylerii przeciwniczej i bliski kolorowych paciorków. Strzelano do nas. Reflektory paliły mi oczy.

— To już koniec! — pomyślałem sobie.

— To niemieckie baterie walą do nas! Głupstwo! — zawołał pilot.

Niech go wszyscy diabli, ten człowiek umiał pocieszać człowieka zgnębionego!

Płynęliśmy znowu w bezkresnej ciemności. Nie wiem jak długo lecieliśmy. W pewnej chwili znowu usłyszałem potężne wybuchy, niektóre jakby pod samolotem. Setki reflektorów jęły nas macać, ślizgać i oślepić.

Nagle spostrzegłem jak mój pilot zaczął szybko coś sygnalizować. Strzały ucichły, a reflektory jęły nas prowadzić.

— Teraz! Rzucić! — krzyknął pilot, obracając się do mnie. Momentalnie otworzyłem drzwiczki i wyrzuciłem zielony worek ze spadochronem.

Reflektory gasły.

— Dziękuję bardzo! Teraz wracamy na Bielany! — zawołał pilot.

Co było dalej — nie pamiętam. Wpadłem w jakiś dziwny stan sennosci i wyczerpania. W uszach biły mi dzwony. Kiedy się ocknałem i otworzyłem oczy — rolowaliśmy na lotnisku bielańskim. Był świt.

Na chwilę przed wyjściem z samolotu, poszliśmy z pilotem do kantyny na kawę, a potem, po załatwieniu jakichś formalności przez pilota, wsiedliśmy w nasze auto i pojechaliśmy do owego domku przy szosie.

Przebrałem się z rozkoszą w swoje własne ubranie. Kiedy byłem gotowy, pilot mocno uściśnął mi rękę, uca-

łował mnie, i wsunął mi do kieszeni jakąś niebieską kopertę.

— Otworzy ją pan w domu — powiedział pilot. Proszę o nic więcej nie pytać i nic nikomu nie opowiadać. Nie zapomnę panu tej przysługi. Kiedy się skończy wojna — podziękuję panu jeszcze raz i wynagrodzę inaczej.

Ciągle jeszcze miałem w uszach szum motoru. Z trudem dowlokłem się do przystanku tramwajowego. Po upływie pół godziny byłem w domu.

Zona moja początkowo nie dowierzała, gdyż podejrzewała, że wizyta pilota była uplanowana, aby tylko wymknąć się gdzieś na nocną hulankę, jednakże kiedy pokazałem jej niebieską kopertę — a w niej 5000 złotych — uwierzyła.

Rzyzykowna akcja udała się. Tajemniczym pilotem był oficer „Intelligence Service” kapitan Tadeusz Gernert. Prototyp i plany V3 dostały się w ręce Anglików. Dopiero po 24 godzinach hitlerowcy zorientowali się, że wystrychnięto ich na dudków. Worek zielony, zostawiony w Hamburgu przez pilota, zawierał kopie planów oraz bryłę stali.

Kiedy się w końcu dowiedział o tym „niezwykłym nadczłowieku” Adolf Hitler — wpadł w taką wściekłość, jakiej nigdy u niego jeszcze nie notowano. Wrzeszczał, ochrypił, chwycił go jakieś konwulsje, upadł na dywan i jął ten dywan szarpać zębami. Otoczenie Hitlera było przerażone.

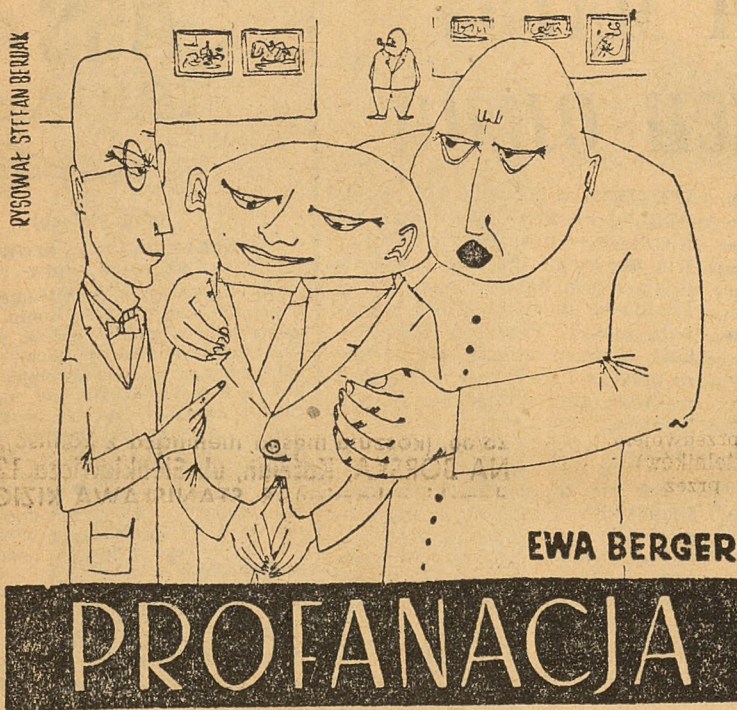
O takim zachowaniu się Hitlera wkrótce podało wiadomość radio londyńskie. Szaleliśmy z radości tak, jak Hitler szalał z wściekłości.

Upłynęło wiele czasu. Kpt. Gernert nie dał znaku życia. Seweryn S. zginął na berykardzie, w czasie powstania warszawskiego. Jego małżonka, również dzielna niewiasta i miłująca Polskę ponad wszystko, nie zalała rąk w rozpacz, ciężko pracując zajął się wychowaniem i wykształceniem swoich dwóch synów. Wiesław jest inżynierem, Cezary kończy Politechnikę Warszawską, a matka pracuje jako st. radca w Ministerstwie Łączności w Warszawie.

Nieraz wspomina ona swojego małżonka i ociera łzę. Pociesza ją jednak świadomość, że jednak mimo wszystko, Seweryn S. przyczynił się trochę do konwulsji Hitlera i w nowej mierze wpłynął także na przyspieszenie zgonu bestii hitlerowskiej.

MARIAN BAKAL

RYŚMOWAŁ STEFAN BERUAK



EWA BERGER

Gdyby nie kino, to chyba nie doszłoby do tej całej historii. Pewien strażnik zatrudniony w muzeum był poprzedniego dnia na filmie pt. „Skradziony Michał Anioł”. Program pobudził jego czujność. Nic więc

dziwnego, że nasunęły mu się najgorsze przypuszczenia na widok pewnego podejrzanego osobnika, który kręcił się po 16-tej sali (hiszpańscy klasycy: El Greco, Velasquez, Murillo) i nadto zdawał się kryć coś pod płasz-

czem. Poczciwy umysł i nieubłagane oczy strażnika odgadywały pod wydetymi fałdami płaszcza — skradzione dzieło sztuki.

W tym wyjątkowo pięknym dniu muzeum było prawie puste. Nasz amator-detektyw mógł więc bez wywoływania niepotrzebnego zainteresowania zbliżyć się do podejrzanego osoby. Rozkraczysz się przed nim w całej swej urzędowej godności, krzyknął nieuprzednio i groźnie: Człowieku, rozepnij natychmiast płaszcz! — Podejrzany zbladł i począł drżeć, tak jak przyłapano na gorącym uczynku — złoczyńca. — Po co?, wyjąkał blady i podniecony.

— Tylko bez głupich pytań! — ryczał zapalczywy obrońca skarbow muzeum.

Jednym ruchem ręki zdarł z przestępcy płaszcz. W oczach strażnika błysnął triumf. Spod płaszcza wyłoniło się dość duże, oprawne w złote ramy płótno.

Strażnik jedną ręką trzymał złodzieja jak w kleszczach, drugą wyrwał mu obraz. Potem zawył syreny alarmowe i postawiły na nogi czterech detektywów, którzy zawlekli niedoszedłego złodzieja przed oblicze dyrektora. Dumny strażnik meldował krótko, po wojskowemu. „Próba kradzieży!” Dyrektor muzeum przeżany oparł się o biurko. — Straszne, okropne — powtarzał. — Miał pod płaszczem, jednego z hiszpańskich klasyków, uzupełniał szczegółów strażnik. — Ale złapałem go jeszcze w porę!

Dyrektor zbliżył się do ujętego z groźną miną. — To będzie Pana droga kosztować — powiedział. Każdy z naszych obrazów kosztu-

je setki tysięcy. Tę kradzież zapamięta Pan sobie do końca życia!

— Nie chciałem wynieść obrazu — bronił się nieznajomy. Detektywi i strażnik wybuchnęli zgodnie szczerzym śmiechem. Dyrektor, który na taką odpowiedź uśmiechnął się z politowaniem, dodał: — Jeśli ktoś ukrywa obraz pod płaszczem — to chyba nie dla zabawy? Odpowiedź nieznajomego wprawiła wszystkich w osłupienie.

— Ja chciałem obraz zawiesić — wyjaśnił.

W tym momencie dyrektor podbiegł do strażnika i wyrwał mu obraz. Była to martwa natura, dwa szczupaki spowite kwiecistym wiechem. Dzieło zdobił wyraźny podpis „Alojzy Żądło”.

Dyrektorowi ledwie słowa przechodziły przez gardło, gdy gorączkowo pytał:

— Do diabła, kto to jest Alojzy Żądło?

— Ja, panie dyrektorze, odparł skromnie nieznajomy.

— Pan to malował? —

— Obraz jest piękny, — odparł urażony malarz.

— I to chciał pan zawiesić między obrazami galerii?

— Tak — powiedział pan Żądło. — Obraz powinien się znaleźć wśród innych dzieł sztuki.

Zdenerwowany dyrektor ujął strażnika pod ramię. — Słuchaj, jęknął słabo — ten łobuz zwariował! — Potem zwrócił się ponownie do malarza.

— I hiszpańscy klasycy wydali się panu dość godni, by powiesić obok nich ten kicz?

— Nie rozumiem pańskiego zdenerwowania — powiedział Żądło. Robię to przecież już od sześciu miesięcy. — Dyrektor zalała się jak człowiek rażony gromem. — Co pan robi od sześciu miesięcy? — ryczał.

— Wiem moje obrazy w salach muzeum! — Więcej już nie powiedział, gdyż dyrektor poderwał się do biegu jak ranny dzik. Za nim biegli detektywi — przez sale, w których tu i ówdzie siedziały czułe parki. I rzeczywiście stan faktyczny był straszny!

W sali 4-tej, gdzie wisieli tylko malarze holenderscy XVII wieku, znajdowało się między Franz Hals'em i Adrianem van de Venne sześć oryginalnych dzieł sygnowanych przez Alojzego Żądło. W sali 9-tej (mistrzowie rokoka) obok Watteau i Boucher'a — także trzy prawdziwe „Żądła”.

Między florentczykami (sala 22, Andrea del Sarto, Fra Bartolomeo), znów oryginalne dzieła dorosłego artysty.

A jakże, w sali 34 (wokół Ty-cjana) znów obrazy pędzla Alojzego Żądło. Zawsze z widocznym znakiem mistrza.

Przez pół roku podziwiali zwiedzający muzeum Alojzego Żądło. Raz jako mistrza rokoka, raz jako „starego Holendra”. Oczywiście z należnym szacunkiem.

Od pół roku wisiły jego obrazy we wszystkich salach muzeum. Ani urzędnikom ani zwiedzającym nie wpadło to jednak w oko.

Tłum. JERZY MACHLOWSKI

LESZEK MARUTA

TRZĘSIENIE ZIEMI

Miasteczko N. jest ze wszech miar uroczą miejscowością. Położone wśród wesołych, zielonych wzgórz, opasane wstęgą leniwie płynącej rzeki, odznacza się łagodnym, zdrowym klimatem, stąd polecane jest przez lekarzy jako kurort osobom nerwowym i chorym na serce.

Ma ono jednak pewien mały, że się tak wyrażę, feler. Otóż, regularnie co parę dni, nawiedzane jest przez silne trzęsienie ziemi.

Te podziemne ruchy skorupy ziemskiej z czasem zupełnie przekształciły charakter miasteczka, naruszając tradycyjną strukturę społeczną i gospodarczą tego typu drobnych organizmów miejscowych.

Dość powiedzieć, że na przykład wszystkie domy w N. zbudowane są — z papieru. Stąd na przykład najmocniejszym mieszkańcem miasteczka jest

dzierżawca kiosku z gazetami, zajmujący wspaniałą willę, wzniesioną ze zwrotów pism literackich, a za nim zaraz idzie kierownik księgarni, który wybudował sobie kamienicę z tak zwanych w języku księgarskim „cegieł”. Fronton tego budynku zdobią nazwiska najbardziej czcigodnych pisarzy. Lekkie te budowle z łatwością znoszą najgroźniejsze nawet wstrząsy.

Inne reprezentacyjne budynki miasteczka wzniesiono z podobnego budulca: kasę PKO z książeczek docelowych, pocztę z niedoręczonych przesyłek, a miejscowe więzienie z grubych tomów kodeksu karnego. Nie powinno to nikogo dziwić. Tego typu domy spotyka się na porządku dziennym na przykład — w Japonii...

Osobliwością N. jest również i to, że rynek miasteczka nie jest stały, lecz wciąż przenosi się z miejsca na miejsce. W poniedziałek znajduje się, dajmy na to, nad rzeką, lecz kiedy po wtorkowym trzęsieniu pojawia się w tym miejscu rów, wędruje z kolei pod pobliskie wzgórze, aby znowu w sobotę zjawić się nie spodzianie pod lasem. Razem z rynkiem wędruje składana katedra i przenośny ratusz. Dezorientuje to nieco listonoszy i przyjezdnych...

O tym wszystkim wiedziałem już, kiedy przybyłem z ramienia władz powiatowych koleją do N., jako księgowy — rewident. Toteż nie zdziwiłem się wcale, kiedy pociąg przystanął nie na stacji, lecz w szczerzym polu obok kiosku z szyldem: „PIWO. LEMONIADA. WODA SODOWA”.

Wysiadłem z wagonu, oddałem bilet bufetowemu i przy okazji uga-

siłem pragnienie bombą piwa.

— Gdzie tu u was znajduje się gminna spółdzielnia? — zagadnąłem sprzedawcę, płacąc za duże jasne.

— Zaraz, zaraz — zastanawiał się przez chwilę — Osmego była przy rynku, dziesiątego nastąpiło trzęsienie, więc przeniesiono ją pod pocztę, piętnastego widziałem ją koło remizy, to dziś musi być obok rzeźni!

Ledwie wyrzekł te słowa, ziemia zastrzęsła się i tumany kurzu przesłoniły świat.

— Nie, już jej teraz nie będzie przy rzeźni — oświadczył bufetowy, kiedy pył nieco opadł — szukaj jej pan na Pierwszego Maja!

Ruszyłem przed siebie drogą, pozbliżoną licznymi szczelinami i pęknięciami. Tu i ówdzie trafiałem na pokaźne wyrwy i dziury. Po drodze mijaliśmy mieszkańców N. przenośzących na plecach swe domostwa. Szli rażno, śpiewając „Postawimy naszej babci domek mały...”

Po dobrym kwadransie dotarłem wreszcie do spółdzielni. Księgowy na mój widok tak się zatrząsł, jakby trwał jeszcze trzęsienie ziemi.

— Chcę skontrolować magazyn! — oświadczyłem mu od progu.

Minęła długa chwila, zanim księgowy doszedł do głosu.

— M...magazyn... a ...magazyn? Gdzie on teraz może być? Piszczak, nie wiecie gdzie przenieśli magazyn?!

Z sąsiedniego pokoju wyłonił się ni-

ski, tegi urzędnik. Zauważyłem, że wymienił on znaczące spojrzenie z księgowym.

— Magazyn, kierowniku? — zdziwił się Piszczak — Toli przed chwilą zapadł się pod ziemię! Dziura ogromna, bo też tam było w nim wszelakiego dobra... Magazynier ledwie z życiem uszedł!

— Tak, tak — przytakiwał mu księgowy. — To już płyty magazyn w tym miesiącu się zapadł. Doły w tych miejscach straszne, lawa się przelewa i siarka cuchnie!...

— Hm — zastanowiłem się — to wobec tego gdzie teraz znajduje się kasa?

— K...kasa, panie inspektorze — znów zatrząsł się księgowy — Piszczak, gdzie jest kasa?

Piszczak obrzucił mnie ironicznym spojrzeniem.

— Kasa równo przed piętnastoma minutami — oświadczył mi wleciała w rów tektoniczny! Kasjer też cudem się uratował.

— Taak — powiedziałem. — No dobrze. Dziś już nie będę panów męczył, ale jutro z rana chcę się udać z panami na miejsce wypadków. Może da się coś odnaleźć, spisujemy protokoły, przesłuchamy świadków... Jest tu jakiś przyzwyczajony hotel albo gospoda?

— Owszem — poinformowali mnie skwapliwie Piszczak i księgowy. — Bardzo dobry hotel „Pod Wezuwiuszem”, róg Pompejańskiej...

Wkrótce potem znalazłem się w hotelu. W moim pokoju, prócz szafy, stołu, łóżka, znajdował się jeszcze i telewizor.

— Czynnny? — zagadnąłem portiera.

— Ee, gdzie tam — odrzekł w normalnych warunkach to już się obraz trzęsie, a jak jest jeszcze trzęsienie, to się już podwójnie trzęsie!

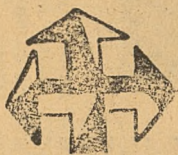
Resztę wieczoru strawiłem nad sprawozdaniem. Tak, tak, N. było zakałą powiatowego planu gospodarczego. Wszędzie deficyt... Towary, materiały, pieniądze zniknęły tu jak śliwki w kompozycji...

O północy poszedłem spać. Ale nie dane mi było spokojnie doczekać do rana. Kilka razy w nocy hotelem wstrząsały, podziemne siły, zdawało mi się nawet, że siyszałem przez sen jakieś głosy. „Hej, ruup! Hej ruup!”

Nad ranem, może była godzina piąta, do mego pokoju wpadł przeżany portier.

— Panie inspektorze — krzyknął — Niestety! Dziś w nocy ziemia pochłonięła księgowego spółdzielni! Także magazynier, kasjer i referent Piszczak zapadli się pod ziemię! To już szósty zaginiony zarząd w tym roku...

— Cześć poległym na posterunku! — wymruczałem, pakując drżącymi rękami walizkę. Rewident nie ma tu co szukać... Tu by się raczej przydał geolog... A zresztą diabeł wie, czy by i oni co wskórali. Trzęsienie to trzęsienie, dopust Boży. Nie, nie za nic w świecie nie chciałbym pracować w N. Brr! Już wolę nasze miasto powiatowe. Nim przynajmniej trzęsie tylko przewodniczący powiatowej rady...



Od lewej do prawej:
1. Narciarz. Fot. Zygmunt Praliński, Katowice
2. Na saneczkach. Foto Jean Crips, Anglia
3. Krajobraz. Foto Paweł Kranz, Zakopane



POLECAMY • POLECAMY • POLECAMY • POLECAMY

„Sztuka polska dwudziestolecia”

Wyd. „Arkady” Warszawa — 1959

Jest to wybór pism Mieczysława Wallisa z lat 1921 — 1957. Był to okres bujnej i bogatej twórczości artystycznej, okres rozkwitu grafiki polskiej, szczególnie drzeworytu. Na terenie międzynarodowym cieszyła się Polska wielkim uznaniem w dziedzinie tkactwa artystycznego, zwłaszcza kilimu i makaty oraz plakatu. O tych wszystkich sprawach przypomina książka Wallisa.

„Preliminarium Peregrynacji do Ziemi Świętej J. O. Księcia Radziwiłła Sierotki”

Wyd. PIW — 1959

Właściwym bohaterem utworu Słowackiego jest Radziwiłł Panie Kochanku, przebijający się za Sierotkę i błądzący o rzekomej peregrynacji. D każdego niemal słowa tego arcydzieła Słowackiego dał Uniechowski swoją ilustrację.

„Bitwa w drodze”

Książka i Wiedza — 1959

Halina Nikolaiewna, radziecka pisarka, z wykształcenia lekarz, pracowała w czasie II wojny światowej na statku sanitarnym i w szpitalach. Powieść

„Bitwa w drodze” ukazała się w roku 1957 w miesięczniku „Oktabr”.

„Czy książkę się boi”

Wyd. Morskie — 1958

Jest to tomik opowiadań Jerzego Sulimy-Kamińskiego. „Zarówno Iryzm Kamińskiego, jak jego ironia czy splecia dramatyczne wydają mi się prawie zawsze przekonujące...” — pisze Jerzy Andrzejewski.

„Krowa”

PIW — 1959

Ten tom opowiadań nagrodzony przez „Przegląd Kulturalny” to kontynuacja zainteresowań Adolfa Rudnickiego tematyką żydowską i psychologią miłości.

„Kalendarz Chopinowski”

Polskie Wyd. Muzyczne — 1960

Zawiera krótki życiorys Chopina, bogato ilustrowany oraz wykaz laureatów międzynarodowych konkursów im. Chopina.

Odpowiedzi Kącika Co tydzień piosenka

„NIESZCZĘŚLIWA MONIKA”. Piosenkę w wykonaniu p. Barbary Muszyńskiej pt. „Królowna” na życzenie Pani umieścimy w naszym tygodniku ale dopiero najwcześniej w drugiej połowie marca lub w pierwszej połowie kwietnia. Druga piosenka, o którą Pani prosiła, nie jest ani nagrana ani wydana, więc umieścić jej na razie nie możemy.

LUCYNA. Prośby Pani nie możemy wykonać ze względów technicznych. Mniejszy rozmiar byłby w ogóle nieczytelny.

IZA S., IRENA K. i IDALKA P. Redakcja nasza stara się umieszczać najnowsze piosenki w pierwszym rzędzie polskie, względnie piosenki przebojowe przedwojenne (na życzenie czytelników). Wyrażone przez Panią piosenki są już bardzo ograniczone i już zupełnie nieatrakcyjne. Piosenkę „Ja śpiewam piosenki” do słów W. Tuwima w wyk. B. Muszyńskiej postaramy się wydrukować.

TADEUSZ ADAMUS. Kazimierz Wielki — woj. kieleckie m. Łyczaków. Niestety prośby Pana nie możemy spełnić bowiem nie posiadamy u siebie starych numerów. Radzimy w tej sprawie zwrócić się do znajomych, którzy prenumerują „Zdarzenia”.

WACŁAW WOŹNIAK. Zakopane. Za przysłane piosenki serdecznie dziękujemy. Drukować w związku z audycjami w Polskim Radio możemy wyłącznie piosenki nagrane na płytach lub taśmie magnetofonowej. Z tego też powodu piosenki są do odebrania w redakcji.

CZYTELNIK Z RADYMA. Piosenkę „Bo taki jestem zimny drań” postaramy się w niedługim czasie wydrukować.

STAŁE CZYTELNICZKI KLASY 9 C. Redakcja „Co tydzień piosenka” postara się w niedługim czasie wydrukować „Kaczuszkę”.

PANI A. S. Za miły list dziękujemy. Piosenkę „Kaczuszkę” będziemy się starali możliwie jak najprędzej wydrukować. W sprawie częstotliwości audycji piosenek „Zdarzeń” w Radio, radzimy zwrócić się bezpośrednio do redakcji muzycznej Rozgłośni Krakowskiej P. R.

A. CEBULA. Dziękujemy za przysłany tekst. Niestety drukować nie możemy. Drukujemy tylko piosenki wydane i nagrane.

Kto wygrał nagrody W PLEBISCYCIE - KONKURSIE »LAJKONIKA« I »ZDARZEŃ«

Na posiedzeniu komisji Konkursu w składzie: red. nac. „Zdarzeń” — A. Hollanek, dyr. KGL „Lajkonik” — F. Kurzawa, red. nac. „Gazety Krakowskiej” — J. Konecki, oraz redaktorzy: J. Budzyński oraz M. Kupłowski — wylosowano spośród trafnych rozwiązań następujące osoby, które otrzymują nagrody:

1. ZOFIA HOSTYŃSKA, Kraków, ul. Łączna 5a/3, (radioaparat z adapterem, prod. pols.), 2. KRYSZYNA GUTAJ, Łódź, ul. Kossaka 17 (adapter walizkowy, nagroda Centr. Przem. Muzycznego, Kraków, Floriańska 7), 3. KAROL KAŁUSIŃSKI Nowa Huta, Os. C—1, bl. 23/38, (koszula męska niemająca z komisji), 4. KRYSZYNA BORSKA, Kościan, ul. Siemkiewicza 12a (sweterek damski, z komisji), 5. STANISŁAW KIZIOR, Kraków, ul. Żmudzka 20 (komplet: wieczne pióro i ołówki).

Pozostałym osobom, które nadesłały trafne rozwiązania, postanowiono przyznać upominki w postaci książek. Są to: JANINA KRÓL, Kraków, Westerplatte 3/9, MARIA STACHOWICZ, Radom, ul. Ciesielska 20/3, MAREK JEZIOROWSKI, Kraków, Długa 32/7, ZDZIŚŁAWA TYRNA, Jaworzno, ul. Krakowska 49, SELWA STRUK, Kraków, Zwierzyniecka 10/26, JANINA LIPIEC, Kraków 28, A—11, bl. 12 m. 21, ANNA FILIK, Przemysły, ul. Kościuszki 3, EWA JANUS, Kraków, Kraszewskiego 16/3, KRYSZYNA GŁOGOWSKA, Kraków, Rydla bl. 7 m. 21.

Po odbiór nagród należy się zgłaszać do Biura KGL „Lajkonik”, Kraków, Solskiego 16. Zamiejscowym uczestnikom Konkursu nagrody zostaną przesłane pocztą.

Odpowiedzi redakcji:

JAN GWIŹDZ, Nowy Sącz. Gdyby ten sam temat był opracowany prozą, mógłby mieć szansę ukazania się w naszym piśmie.

JÓZEF KARECKI, Gdynia. Listy z rozwiązaniami krzyżówek nadchodzące po terminie nie biorą udziału w losowaniu.

KRYSZTOF SZYMANEK, Kraków. Takich dowodów brakorobstwa otrzymujemy wiele. Przesyłamy je zwykle do odpowiednich wykonawców. Życzenia noworoczne dozorcy to rzeczywiście curiosum, szkoda, że dopiero teraz otrzymaliśmy.

Uwaga!

PREMIERA FILMU „WSPÓLNY POKÓJ”

W dniu 13 bm. w kinie Wanda o godzinie 20 odbędzie się premiera polskiego filmu pt. „Wspólny pokój” z udziałem realizatorów i wykonawców. M. in. będą obecni reżyser filmu WOJCIECH J. HAS, reżyser ALEKSANDER CIESIELSKI, a spośród wykonawców m. in. GUSTAW HOŁOUBEK, MIECZYSLAW GAJDA, ADAM PAWLIKOWSKI, ANNA ŁUBIEŃSKA, WOJCIECH RUSZKOWSKI.

KSIAŻKI WYLOSOWALI

1. MIECZYSLAW JAWORSKI, Grabie 128, pocz. Węgrzce Wielkie pow. Kraków
2. CZESŁAW DZIEWOŃSKI, Myslenice, ul. Niepodległości 25
3. TADEUSZ KOTOWICZ, Nowy Sącz, ul. Długosza 36
4. JOANNA WILANOWSKA, Wrocław 12, Główny 72
5. FRANCISZEK KOLEK, Kęty, Al. Czaniecka 520

POZIOMO: 1. Mieszkaniec wschodniego Pomorza, 6. Lennik w czasach feudalnych, 10. Litera alfabetu greckiego, 11. Rzeką zapominania w Hadesie, 13. Zamek, 14. Pole orne, 15. Twórca „Kalevali”, narodowego eposu Finlandii, 16. Duże miasto w północnych Indiach, 17. Pracuje w drukarni, 20. Rzeką przycinającą Puszcze Tucholską, 22. Symbol chemiczny kryptonu, 23. Długa przemowa, 25. Inaczej nie rusz, odejść, 27. Mierzy się w nie przy strzelaniu, 28. Duża flota wojenna w dawnych czasach, 30. Spółgłoska fonetyczna, 31. Wielka zabawa taneczna, 33. Rzeką graniczną między ZSRR a Turcją i Iranem, 36. Organizm zegara, 38. Termin muzyczny wyznaczający tempo utworu, 40. Zanieczyszczająca zbroń, 42. Zamek wskazujący, 43. Przestrzeń między dwoma równoleżnikami, 45. Wół tybetański, 46. Postępowy pisarz brazylijski, autor powieści „Bezkrzesne ziemie”, 47. Imię żeńskie, zdrobniałe.

PIONOWO: 1. Wschodnia część Półwyspu Krymskiego, 2. Rodzaj pióra kreślarskiego, 3. Srodek leczniczy w chorobach gośćcowych, 4. Willa roju pszczołowego, 5. Mieszkaniec jednego z krajów Europy zachodniej, 6. Metal srebrzysto-biały, bardzo trudno topliwy, 7. Gatunek, 8. „Tak” po czesku, 9. Głoska w piśmie, 12. Nazwa sztucznego lodowiska w Warszawie, 16. Gatunek papugi brazylijskiej, 18. Srodek używany do narkozy chirurgicznej, 19. W mitologii greckiej kraina ciemności, 21. Członek ludu wschodniego, który w VI w. opłonił Europę środkową, 22. Legendarny władca Krakowa, 24. Nie blisko, w znacznej odległości, 26. Gaz bojowy drażniący parząco-duszący, 27. Płótno pokryte lakierem, 29. Kwiat rosnący w zbożu, 32. Za-

KSIAŻKI WYLOSOWALI

6. JÓZEF ZNAMIROWSKI, Kraków, Łobzowska 53/13
7. HELENA KRZYŻAN, Poznań, Pl. Wolności 3, m. 31
8. WŁODZIMIERZ KOWALEK, Poznań, Wojska Polskiego 85/57
9. WIESŁAW KOWALKIEWICZ, Łódź, Przewodnia 59/1
10. MARIA WITKO, Kraków, ul. Modrzewskiego 43/3
11. BOLESŁAW BUJNOWSKI, wiadomienie o wysyłce towaru, 34. Malarz polski, uczeń Jana Matejki, 35. Sto tysięcy deko, 37. Powstaje po urazie fizycznym, 39. Część partii tenisowej, 41. Potwierdzenie, 44. Symbol chemiczny srebra.

Rozwiązanie „Krzyżówki” z nr 6 (143)

POZIOMO: 1. ramota, 6. Janus, 11. Orawa, 12. hałali, 13. balon, 14. rzezak, 15. ora, 16. iwa, 17. ano,

- Przeście 60, p-ta Bliżyn, pow. Kielce
12. RYSZARD SIEPRUCKI, Kraków, Al. Puskina 39
13. JERZY JĘDRASKI, Kazimierz Wielki, Boh. Stalingradu 36
14. STANISŁAW LISZCZYK, Warszawa 25, Projektowana V-ta 7/3
15. JERZY BAUER, Łańcut, Daszyńskiego 18/5
18. Tag, 19. biedak, 21. tasaki, 25. rakarz, 29. zabawy, 32. Zan, 34. Ala, 35. zia, 36. Ela, 37. lewary, 40. Kapet, 42. Ikarus, 43. Skawa, 44. Koran, 45. parkan.

PIONOWO: 1. robot, 2. Ararat, 3. malaga, 4. owo, 5. tanina, 6. jaz, 7. ale, 8. nazad, 9. Ułana, 10. Sikoku, 12. hrabia, 20. era, 22. ska, 23. kryzys, 24. szalik, 25. kraksa, 27. rzepak, 28. zalewa, 30. Aleko, 31. Bawar, 33. Natan, 38. ara, 34. run, 41. akr.

